



Holandia • Europa • Świat

Scena Polska.nl

nr 1(113)/2023

ISSN 1233-7633





XXVIII OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL SZTUKI FILMOWEJ 2023 PROWINCJONALIA



19-22
kwietnia
2023

Wrzeński Ośrodek Kultury, Września
+48 604 176 793 provincjonalia.com.pl

Producent/Organizator:

Mecenas/Partnerzy:

Patroni medialni:





ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

Drodzy Czytelnicy

Gdy przyroda powoli budzi się i puka promieniami słońca w nasze okna, to przychodzi nadzieja. Dla każdego ta nadzieja ma inny obraz, ale wszyscy potwierdzimy, jest optymizm! Na okładce zwiastuny wiosny w Holandii mają trochę nostalgiczną barwę, ale tak już jest z tą pogodą. W Europie witamy wiosnę, a w Australii żegnamy lato.

A jakie tematy znajdziecie w tym numerze? Jak zwykle jest o filmie, teatrze, poezji i ciekawych wydarzeniach. Witamy w Holandii nową panią Ambasador, pisze-

my o zbliżającym się Dniu Króla i oczywiście o przygotowaniach do Wielkanocy. W tym roku Scena Polska nie planuje wznawienia cyklicznego przeglądu filmowego Polska Wiosna Filmowa, ale nie oznacza to rezygnacji z organizacji przez Pools Podium ambitnych przeglądów polskiego filmu. Z pewnością wrócimy jesienią z nowymi propozycjami.

Zachęcamy do śledzenia programu festiwalu filmowego PROWINCJONALIA w kwietniu we Wrześni i do udziału w SPRING – festiwalu sztuk performowanych w maju w Utrechcie. A w czerwcu, rezerwujemy czas na udział w Wiankach, które po kilkuletniej przerwie wracają do Fortu Blauwkapel w Utrechcie. Ta impreza ma już swoją historię, którą opiszemy w następnym wydaniu Sceny Polskiej, jeszcze przed tegorocznymi Wiankami, które odbędą się w niedzielę 25 czerwca. Zainteresowani mogą zgłaszać się już teraz: poolspodium@gmail.com.

A niebawem Wielkanoc. Życzę wszystkim wspaniałych Świąt Wielkiej Nocy, wystrójonych w „pisanki” koszyczków oraz wspólnego z rodziną i przyjaciółmi, odpoczynku.

Miłej lektury!

Spis treści

GRZEGORZ RESKE SPRING – festiwal sztuk performatywnych w Utrechcie	4
JACEK KAŁUCKI „Sekrety zza kulis” – moja nowa książka! ..5	5
KONRAD J. ZARĘBSKI Na pewno o osiołku?	6
RAFAŁ GÓRECKI 28. Ogólnopolski Festiwal Sztuki Filmowej „PROWINCJONALIA”	7
ANNA FRANÇOIS-KOS Zbigniew Andrzej Judycki – znawca Polonii, strażnik polonijnej pamięci	8
Dzień Króla w Holandii	10
Pani Margareta Kassangana – Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny RP w Królestwie Niderlandów	11
RYSZARD ŻELICHOWSKI Zrealizowane marzenie	12
Krzysztof Dębski – 50 lat pracy artystycznej!	14
Salon Poetycko – Muzyczny im. Wandy Sieradzkiej	15
Wierszowisko 2023	16
JERZY SKOCZYLA Podwórko	16
GRAŻYNA GRAMZA „Deficyt niebieskich migdałów” o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej	17
ALEK SILBER Listy do poety	18
Warszawska premiera musicalu „Irena” o Irenie Sendlerowej	20
ALICJA GRYGIERCZYK Zimna woda	20
ANDRZEJ SKIBNIEWSKI Job interview. Powrót	22
ANNA FRANÇOIS-KOS Żegnaj Jolu!	24
SYLWIA CHRABAŁOWSKA Ubundu na wiosnę	25
MAREK GRĄDZKI Chłop golonce nie przepuści	26



SCENA POLSKA | Nr 1(113)/2023 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schroten-Czerniejewicz i zespół.

WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.

www.poolspodium.org | www.facebook.com/scenapolska

ZDJĘCIA: Archiwum SPP

SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamek | Mac Map

OKŁADKA: Fot. Nicolas Schroten

DRUK: Drukarnia DS Marcin Witecki



SPRING – festiwal sztuk performatywnych w Utrechcie



GRZEGORZ RESKE

Latem 2021 roku, ku mojemu zaskoczeniu, znalazłem się w Utrechcie. Nie na chwilę i nie jako turysta, ale aby przejąć po Reinerze Hoffmianie prowadzenie Festiwalu SPRING.

Przez dekadę istnienia festiwalu, Reiner wprowadził Utrecht do czołówki europejskich festiwali sztuk performatywnych. Od zeszłego roku, staram się i będę się starał dalej, podtrzymać i rozwijać ten zmysł.

SPRING w swoich programach co roku sięgał po interesujących artystów z różnych zakątków świata. Co jakiś czas pojawiały się także projekty z Polski – a pierwszą edycję SPRINGu w 2013 roku otwierał spektakl Marty Górnickiej i Chóru Kobiet

W tegorocznym programie akcentów z Polski i od naszych sąsiadów, będzie bardzo dużo. Zaczniemy z dużym (dosłownie) przytupem, aczkolwiek jak na festiwal teatru i tańca – nieortodoksyjnie. W ramach programu otwarcia, na dużej scenie Stadsschouwburg wystąpi ukraiński zespół DakhaBrakha. Kwartet DakhaBrakha powstał blisko dwadzieścia lat temu, jako jeden z projektów wokół centrum DAKH – jednego z najciekawszych i najoryginalniejszych zespołów teatralnych w Kijowie. grają muzykę którą sami określają jako etno-chaos – znajdziemy tam dużo folkloru z Ukrainy (ale też bliskiego przecież polskiemu uchu), mocno podkreconą współczesną elektroniką. To jak bardzo trudna do zaszkladkowania jest ich muzyka i jaki poziom prezentuje, świadczy fakt że w minionych latach muzycy występowali i w Lincoln Center w Nowym Jorku i na festiwalach takich jak Glastonbury czy Roskilde. Ale ich artystyczne podróże nie ograniczają tylko do sal filharmonicznych i wielkich plenerowych festiwali. Byli też na Kijowskim Majdanie, zagrzewali muzyką tłumy broniące demokracji. A dziś podróżują do-

okoła w Utrechcie świata ze swoją muzyką, ale też ze świadectwem ukraińskiego oporu i heroizmu.

Z dwoma projektami przyjadą też do Utrechtu białoruscy artyści na wygnaniu. Igor Shugaleev przed prześladowaniami uciekał najpierw właśnie do Ukrainy, a dziś mieszka pomiędzy Polską a Niemcami „375 0908 2334, The body you are calling is currently not available” to performers będący wprost odwołaniem do wydarzeń ostatnich lat w Białorusi – hołd ofiarom represji. Obok Shugaleeva w utrechtckim Stadsschouwburg wystąpi też Jana Shostak. Białoruska artystka i aktywistka szerszej publiczności znana jest napewno z akcji Minuta krzyku dla Białorusi – który wybrzmiewał w wielu miejscach – od manifestacji ulicznych w Warszawie po salę Zgromadzenia Ogólnego Parlamentu Europejskiego w Brukseli. Wśród licznych nagród jakie młoda twórczyni zdobyła już za swoją pracę artystyczną zwrócić uwagę trzeba na Paszport Polityki za rok 2021.

Kolejne dwa projekty na które na pewno warto zwrócić uwagę, przygotowane zostały ze współudziałem polskich twórców stale mieszkających za granicą. I choć bardzo różne estetycznie – oba dotyczą w istocie bardzo podobnych tematów – troski, skupienia na drogiej osobie, relacji budowanych na współzależności i napięcia między normatywnym społeczeństwem i członkami tego społeczeństwa którzy w rozmaity sposób nie wypełniają pełni ram tej normatywności.

Jednym z filarów projektu „Lending on feathers” jest pochodząca z Warszawy Aleksandra Lemm. Wspólnie z Jiją Sohn – pochodzącą z japonki choreografką i szwajcarską dramaturżką Julią Reist tworzą niezwykle subtelny i niepozabawiony humor projekt w którym zwartacja uwagi na rolę troski jako podstawowego budulca relacji w społeczności – tego jak budujemy troskę o drugiego człowieka i jak odbieramy troskę innych. Równoległe do tego projektu, SPRING prezentuje w tym roku także „Scores that shaped our friendship” niemiecko-polskiego duetu Lucy Wilke i Paweł Duduś. Lucy jest aktorką cierpiącą na rdzeniowy zanik mięśni i porusza się na wózku, Paweł jest polskim tancerzem i aktywistą queer. Poetycki spektakl choreograficzny, toczony do muzyki tworzonej na żywo przez DJ’ke Kim_Twiddle to opowieść zarówno o przyjaźni między dwojgiem ludzi, jak i codziennym zmaganiem się ze stereotypa-



mi i trudnościami budowanymi przez „normatywnie” spoonstuwane społeczeństwo w którym funkcjonują.

Tegoroczny festiwal zakończy się jeszcze jednym polskim akcentem. Na scenie Teatru Kikker zobaczymy nową produkcję przygotowaną przez Gosię Wdowik. W minionych latach Wdowik dała się poznać jako jedna z najciekawszych twórczyń polskiego teatru. Jej spektakle grane są w repertuarach m. in. warszawskich TR i Nowego Teatru. „She was a friend of someone else” to pierwszy międzynarodowy projekt Wdowik. Spektakl odwołuje się do wydarzeń wokół Strajku Kobiet w Polsce i choć zakorzeniony w polskiej rzeczywistości politycznej i społecznej jest w istocie uniwersalnym ostrzeżeniem przez ruchami populistycznymi i zagrożeniem wolności wywalczonych przez demokrację. Projekt przygotowywany jest w międzynarodowym zespole twórców z którymi Wdowik spotkała się podczas swoich studiów w Amsterdamie jak i ze współpracownikami z polski, a na scenie zobaczymy między innymi Jaśminę Polak – jedną z najzdolniejszych aktorem młodego pokolenia, którą w minionych sezonach oglądać można było między innymi za scenach Narodowego Starego Teatru w Krakowie i Nowego Teatru w Warszawie.

Te kilka przykładów, to tylko ułamek bogatego programu blisko 30 tytułów, które w ciągu 10 dni maja zobaczyć będzie można na scenach teatralnych Utrechtu, ale też w tak nietypowych miejscach jak stacja kolejowa, centrum handlowe, czy też... prywatne mieszkanie.

A na koniec jeszcze mała zapowiedź wychylona w kierunku 2024 roku. Wspomniany (i pamiętany tu bardzo dobrze) Chór Kobiet i Marta Górnicka powrócą do Utrechtu w przyszłym roku!

Od redakcji:

Scena Polska w Holandii organizuje dla swoich przyjaciół i sympatyków wspólne wyjście na wybrane spektakle. Zainteresowanych prosimy o kontakt: poolspectrum@gmail.com

„Sekrety z za kulis” – moja nowa książka!

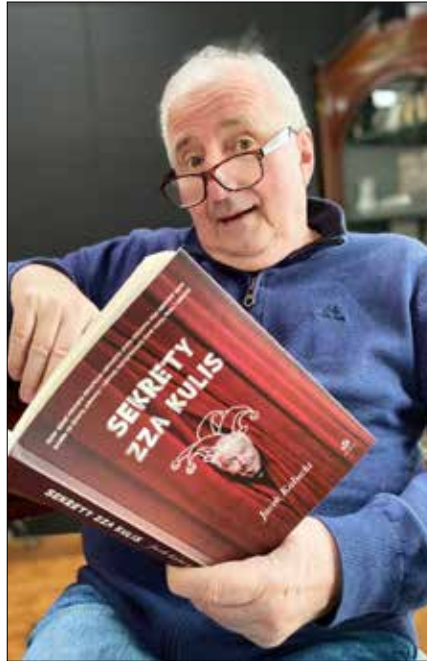
JACEK KAŁUCKI

Uległem namowom moich Przyjaciół, Kolegów, Znajomych i... postanowiłem spisać różne, nieznane dotąd zdarzenia artystyczne, które przytrafiły mi się w teatrze, filmie i... nie tylko! Z reguły są to zabawne historie, które często w trakcie trwania wcale takie nie były. Na przykład moja przygoda z panią Ireną Kwiatkowską, którą opisałem w niniejszej książce, to był wtedy totalny dramat! A dzisiaj? Sam się z tego śmieję.

Wspominam sytuacje, które przeciętnemu odbiorcy mogą nie wydać się humorystyczne, ale uwierz mi, Drogi Czytelniku, że ten zawód, teatr, scena, estrada, plan zdjęciowy rządzą się swoimi prawami. Czasem mała, niewinna sypka, czyli przejęczenie, wywołuje u partnera śmiech nazywany w aktorskim slangu „zgotowaniem”. Po raz pierwszy doświadczyłem tego w szkole teatralnej na próbie egzaminu trzeciego roku, gdzie w kulminacyjnej scenie Romeo przejął się i zamiast „Czarna pieczaro, o! ty wnętrze śmierci...” powiedział „śmierdzi” – nie dało się tego dnia kontynuować próby. Tym bardziej że nad „zwłokami” Julii stała cała nasza grupa. Później wystarczyło, że ktoś zmarszczył nos, albo „martwa” Julia zaczęła dygotać, wybuchała salwa śmiechu!!! A w życiu... po chwili przeszlibyśmy nad tym do porządku dziennego.

Są także dowcipy, które OD ZAWSZE robili sobie nawzajem aktorzy. Owe żarty to nierozzerwalna część teatru oraz doświadczenie zawodowe, nieprzekazywalne w żaden inny sposób, jak tylko w formie opowieści lub odręcznego zapisu. Czasami zostały zarejestrowane na taśmie, ale to tylko przy okazji kręcenia filmu i dubli, które nie weszły do montażu. Sporadycznie są wykorzystywane (głównie w komediach) na zakończenie projekcji wraz z napisami końcowymi. Ten zabieg jest bardzo lubiany przez widzów i bywa, że owe odrzucone fragmenty (outtakes) są zabawniejsze od filmu.

Ponieważ bardzo często różne zdarzenia czy anegdoty są przypisywane niewłaściwej osobie lub przeinaczane, postanowiłem zebrać tylko te, w których sam uczestniczyłem, albo takie, które znam z relacji głównego bohatera. Występują tu między innymi: Ewa Demarczyk, Bożena Dykiel, Krystyna Janda, Irena Kwiatkowska, Anna



Polony, Ewa Wiśniewska, Piotr Fronczewski, Gustaw Holoubek, Tadeusz Łomnicki, Zdzisław Maklakiewicz, Wojciech Pokora, Andrzej Wajda i wiele innych znamienitych postaci polskiej kultury.

Jednocześnie jest tu zawarty spory wy-cinek mojego prywatnego i zawodowego losu, który sam sobie zgotowałem :)

ZAPRASZAM DO ZAKUPU I CZYTANIA
JACEK KAŁUCKI

O książce „Sekrety z za kulis”

MACIEJ WOJTYSZKO

Jacek Kałucki, aktor, dramaturg i człowiek obdarzony dużą dozą poczucia humoru, napisał książkę, po której zamknięciu skłonni jesteśmy zakładać, że mógłby za Ludwigiem Wittgensteinem zawołać: „Powiedźcie im, że miałem wspaniałe życie!”. Oczywiście, że to zbyt proste stwierdzenie. Jacek jest rozsądnym narratorem, który snując opowieść o teatrze i epoce, przez którą przeszedł nie zawsze suchą stopą i nie zawsze do suchym aparacie wymowy, opowiada tak, aby radości było więcej niż

przykrości, a wesołe dominowało nad smutnym.

Jacek snuje wspomnienia, które zamieniają się w anegdoty, i opowiada anegdoty, które są wspomnieniami. Ponieważ jego-ność ma talent i rozsądnie wyznacza proporcje, lektura sprawia wiele przyjemności, ale i prowokuje do zadumy. Czytelnik daleki od świata teatru, filmu i telewizji dowie się, jak jest on dziwny, zabawny i czasem bardzo skomplikowany. Historycy filmu i teatru dotrą do ogromu cennych informacji o przygodach, które rzucają światło na ostatnie pięćdziesięciolecie naszej narodowej kultury.

A ktoś taki jak ja, o którym można by powiedzieć, że przeszedł równoległy szlak bojowy, będzie na zmianę śmiać się i płakać. Śmiać, bo przecież ludzie, o których opowiada Jacek, byli właśnie tacy – ekstrawertyczni, dowcipni, zwiariowani i czarujący. Płakać, bo wielu z nich już nie ma, jak na przykład śpiewającego, komponującego muzykę i słowa aktora, naszego wspólnego przyjaciela, Jana Jangi-Tomaszowskiego. To on na setnym przedstawieniu „Operetki” Witolda Gombrowicza w warszawskim Teatrze Dramatycznym pozwolił sobie zawołać do Piotra Fronczewskiego: „Nie rycz, hrabia, nie rycz, ja znam te twoje numery!”, co było subtelną parafrazą bardzo popularnej, śpiewanej wtedy przez Piotra piosenki „King Bruce Lee – karate mistrz” i jako żywo nie zostało napisane przez Gombrowicza. Ponieważ akurat byłem na tym (tradycyjnie nietypowym) przedstawieniu jako widz, zapewniam, że między innymi dlatego warto chodzić do teatru. I widownia, i obecni na scenie aktorzy przeżyli parę chwil czegoś takiego... Powiedzmy, że przeżyli katharsis (według „Poetyki” Arystotelesa katharsis to rodzaj oczyszczenia duszy poprzez przeżycie uczuć litości i trwogi). Właśnie. Czytałem tę książkę z przyjemnością, popsutą tylko przez jedno uczucie – wciąż miałem ochotę wygłaszać jakieś komentarze, dorzucać swoje wspomnienia, przerywać Jackowi, mówiąc: „a pamiętasz...”. Zarywając noc, przeczytałem „Sekrety z za kulis” jednym tchem.

Jacku, zazdroszczę Ci, że się zmobilizowałeś i że spisałeś ten żywot człowieka pocziwego na tle epoki, a nawet kilku epok. To bardzo szlachetna gawęda szlachcka. ■

Na pewno o osiołku?



KONRAD J. ZARĘBSKI

Społeczna Akademia Nauk uchodzi za jedną z największych uczelni niepublicznych w Polsce, działa od blisko 30 lat, gromadzi około 20 tys. studentów w Łodzi i kilkunastu filiach w całym kraju. Wśród dwudziestu paru kierunków jest Organizacja Produkcji Kinowej i Telewizyjnej. Prowadzę tam zajęcia z historii filmu.

Temat ostatnich zajęć na II roku: „Polski film współczesny”, zarezerwowany jest za zwyczaj na omówienie oscarowych sukcesów polskiego kina ostatnich dekad. A było ich dość sporo – od „Listy Schindlera” Spielberga z wyróżnioną Oscarem scenografią tandemu Allan Starski i Ewa Braun i także nagrodzonymi zdjęciami Janusza Kamińskiego, po statuetkę za całokształt dorobku Andrzeja Wajdy (rok 2000) i Oscara za międzynarodowy film roku dla „Idy” Pawła Pawlikowskiego (2015). A do tego Oscar dla filmu animowanego „Piotruś i wilk” (2006), statuetka za muzykę dla Jana AP Kaczmarka do „Marzyciela” (2005) oraz garść nominacji dla fabuł, dokumentów i animacji. W tym roku do zacnego grona laureatów i wyróżnionych nominacjami dołączył Jerzy Skolimowski, twórca filmu „IO”, gdzie rolę główną zagrało aż sześć osiołków. Od momentu premiery na festiwalu w Cannes (gdzie film wyróżniono Nagrodą Jury i za muzykę Pawła Myketina) dzieło Skolimowskiego wzbudza emocje wszędzie tam, gdzie zostaje pokazane. Na wieść o nominacji do Oscara (za film międzynarodowy) decyduję się zmienić program swoich zajęć. Pokazuję młodzieży „IO” i zapowiadam, że interpretacja filmu będzie tematem zbliżającego się zaliczenia przedmiotu.

„IO” Jerzego Skolimowskiego to kino specyficzne, o jakie

trudno byłoby podejrzewać 85-latkę, ikonę nowofalowego kina lat 60. XX wieku. Do historii polskiego kina przeszedł już swoim debiutem – filmem „Rysopis”, nakręconym jeszcze w łódzkiej szkole filmowej. A potem były nagrody w Berlinie, Cannes, Wenecji, filmy realizowane niemal na całym świecie – od Polski, Belgii, Czechosłowacji po Wielką Brytanię i Hollywood. Ale najważniejszy wydawał się ten, który przez lata nie mógł trafić na ekran – „Ręce do góry” z 1967 roku, w popłochu wycofana z festiwalu w Wenecji opowieść o pokoleniu ówczesnych 40-latków z pamiętnym obrazem Stalina z dwoma parami oczu. To dlatego musiał wyjechać z Polski, gdzie nie mógł kręcić filmów, stąd ta zagraniczna kariera. Ale po niezbyt udanej „Ferdynandzie” było niemal 20 lat przerwy i cudowne odrodzenie. Od tej pory każdy kolejny film budził entuzjazm i zainteresowanie na całym świecie. Ale nigdy wcześniej nie takie, jak owo „IO”, historia osiołka błąkającego się po współczesnym świecie.

Osiółek przychodzi na świat w cyrku, dorasta pod troskliwym okiem swojej treserki – szczęśliwy. Innego zdania są obrońcy zwierząt, którzy przejmują cyrkowy inwentarz. Osiółek trafia na farmę, pracuje w zaprzęgu. Tam odnajduje go treserka, jej wizyta rozbudza tęsknotę za wolnością

i zwierzę ucieka. Wałęsając się po miasteczku, trafia na lokalny stadion, a że miejscowa drużyna wygrywa, zostaje uznany za jej maskotkę. Tyle, że kibice przegranej drużyny napadają na bar, gdzie rywale świętują zwycięstwo i mszczą się – także na osiołku. Szczęśliwie trafia na wrażliwego weterynarza, który zamiast go uśpić, troskliwie kuruje. Przygarnięty przez kierowcę tira, wiozącego żywe konie do rzeźni do Włoch, zostaje zabrany do jego ciężarówki. Ale na włoskim parkingu kierowca zostaje zasztyletowany, a osiołek przyłącza się do pewnego księdza. Ksiądz jedzie do swojej ciotki-arystokratki, która wraca do Francji. Osiółek zostaje sam w otaczającym jej rezydencję parku, wędruje przez włoskie krajobrazy. A na koniec trafia do rzeźni, gdzie prowadzi stado krów do ubojni.

Jak widać, fabuła filmu jest dość otwarta. Filmowy erudyta natychmiast wskaże odniesienia do kina Roberta Bressona, Ingmara Bergmana, Luchino Viscontiego czy Andrzeja Wajdy. Antropolog kultury bez trudu wyodrębni wątki archetypiczne – archetypiczne, bowiem w języku filmowych znaczeń stanowiące metaforę kluczowych miejsc w życiu społecznym a nawet całego społeczeństwa. Urzekająco pięknie fotografowane krajobrazy – polskie i włoskie, niemal całkowity brak dialogu, poruszająca muzyka Pawła Myketyna, wreszcie sugestywny ciąg skojarzeń: wszystko to sprawia, że „IO” Skolimowskiego staje się nie tyle filmem, ile konstruktem filmu – wręcz pustą (choć bogato zdobioną) ramą, w którą można wpisać każdą historię.

A jakie historie odnaleźli w tym filmie moi studenci, dwudziestolatkiowie studiujący kino, których na jednym z pierwszych moich zajęć, półtora roku wcześniej, uczyłem, jak czytać film?

„To jest kino ekologiczne. Sam reżyser w napisach informuje, że ten film powstał z miłości do zwierząt. Moim zdaniem, z miłości i szacunku – nigdzie indziej twórcy nie przyznają się, że w roli bohatera zwierzęcego wystąpiło aż sześć różnych stworzeń. Ten film to apel o miłość do zwierząt!”

„To nie jest film o osiołku, tylko o nas – o ludziach. Dla





jednych osiołek będzie kimś w rodzaju *Kandydy*, wędrującego przez świat i poznającego innych ludzi, dla innych będzie to obraz ludzkiej głupoty i znieczulicy, braku wrażliwości niezbędnej w kontaktach z innymi, skupieniu na sobie samym”.

„Moim zdaniem, „IO” opowiada o człowieku, który rodzi się i umiera. Najpierw wychowuje go mama, potem zostaje pozostawiony samemu

sobie. Albo się przystosuje do proponowanych mu warunków – jak tam na farmie, albo będzie szukać, świadomie bądź nie, swojego miejsca. O jego życiu decyduje przede wszystkim przypadek, zbiegi okoliczności. W ten sposób poznaje różne miejsca, różnych ludzi, a na końcu czeka go to, co wszystkich – śmierć”.

„Ten osiołek to ucieleśnienie niewinności. Niczemu, co spotyka go w życiu, nie jest

winien. A jednak – odbiera mu się matkę, skazuje na poniewierkę. Co z tego, że obcuje z pięknem przyrody, cieszy się wolnością, spotyka ciągle życzliwych mu ludzi (choć nie omiata go spotkania z osobnikami pozbawionymi wszelkiej wrażliwości), skoro na końcu padnie ofiarą brutalnego paradoksu – to przecież on, sama niewinność, poprowadzi bydlę na rzeź”.

„Dla mnie osiołek z „IO” to Chrystus, a opowieść o jego życiu to Droga Krzyżowa – z doznanym miłosierdziem, ale i gorzkim upokorzeniem, aż do męczeńskiej śmierci”.

Pora na podsumowanie: kolega szkolny Milosa Formana i Vaclava Havla (sic! Jerzy Skolimowski uczęszczał do tej samej szkoły w czeskich Podiebradach w czasie, kiedy uczyli się w niej ci dwaj wielcy Czesi), współtwórca „reporterskiej” (bo realistycznie oddającej rzeczywistość) Nowej Fali, kilka dekad później tworzy film stricte modernistyczny, służący nie tyle zabawie filmową formą, ile otwierający widza na refleksję na ważki temat.

Ciekawy jestem, o czym pomyślicie Państwo oglądając „IO”? ■

28. Ogólnopolski Festiwal Sztuki Filmowej „PROWINCJONALIA”

Od 19 do 22 kwietnia 2023 roku w wielkopolskiej Wrześni odbędzie się już po raz 28. Ogólnopolski Festiwal Sztuki Filmowej „PROWINCJONALIA”, znany również jako Festiwal kina periferijnego i outsiderów.

W programie znajdzie się ponad 50 filmów fabularnych, dokumentalnych i animowanych. W najbardziej prestiżowym cyklu „Prowincje świata”, którego tematem jest w tym roku „Nadzieja”, zaprezentowane zostaną obrazy z Chin, Bhutanu, Włoch, Danii, Łotwy i Polski. Z publicznością Prowincjonaliów, która znana jest z ogromnej życzliwości wobec początkujących twórców, swoje debiuty skonfrontują nowi adeptci sztuki reżyserskiej ze Studia Munka, PWSFTViT w Łodzi, Szkoły Wajdy i Szkoły Filmowej w Katowicach.

Każdego roku organizatorzy Festiwalu starają się także wyróżnić jedną z wybitnych osobowości polskiego kina, teatru i telewizji, przyznając nagrodę honorową statuetkę „Jańcia Wodnika” za artystyczne dokonania życia. Dotychczas otrzymali je: Franciszek Pieczka, Witold Leszczyński, Andrzej Barański, Andrzej Kondratiuk,



Tegoroczna laureatka Anna Dymna Fot. FB

Grzegorz Królikiewicz, Stanisław Rózewicz, Krystyna Feldman, Kazimierz Kutz, Stanisław Tym, Sylwester Chęciński, Janusz Morgenstern, Maja Komorowska, Janusz Majewski, Roman Kłosowski, Wiesław Gołas, Anna Milewska, Tadeusz Chmielewski, Władysław Kowalski, Jerzy Gruza, Anna Seniuk, Krzysztof Kowalewski, Marek Koterski i Stanisława Celińska. W tym roku

do grona laureatów Prowincjonaliów dołączy niezwykle lubiana i ceniona aktorka filmowa, teatralna i telewizyjna, działaczka społeczna, założycielka Fundacji „Mimo Wszystko” – Anna Dymna.

Spośród wydarzeń branżowych na szczególną uwagę zasługują: panel Sekcji Filmu Dokumentalnego Stowarzyszenia Filmowców Polskich oraz Ogólnopolskie Forum Animatorów Kultury Filmowej.

**ZAPRASZAM
RAFAŁ GÓRECKI**

**STRONA INTERNETOWA FESTIWALU:
WWW.PROWINCJONALIA.COM.PL**

Scena Polska będzie obecna na Festiwalu. Tutaj, na „Prowincjonaliach”, powstała przed laty idea warsztatów filmowych Sceny Młodych przy Pools Podium. Życzymy Rafałowi Góreckiemu wspaniałej jak zwykle publiczności, dalszego rozwoju Festiwalu i satysfakcji z działań na rzecz promocji filmu! W następnym numerze podzielę się z Państwem relacją z Festiwalu.

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

In memoriam

Zbigniew Andrzej Judycki – znawca Polonii, strażnik polonijnej pamięci

★ 4.09.1948 Opatów – † 25.01.2023 Warszawa

25 stycznia zmarł w Warszawie po długiej i ciężkiej chorobie, w wieku zaledwie 74 lat, prof. dr hab. – Zbigniew Andrzej Judycki. Był dziennikarzem, publicystą, historykiem a przede wszystkim biografem i promotorem Polonii w Polsce i na świecie.

Autor, współautor, współwydawca i wydawca kilkudziesięciu publikacji książkowych o tematyce polonijnej. Pomysłodawca i organizator licznych międzynarodowych sympozjów, które odbywały się zarówno w Polsce jak i w wielu krajach europejskich, poświęconych wkładowi Polaków i polskich emigrantów w pracy na rzecz rozwoju cywilizacyjnego świata.

Członek wielu stowarzyszeń, komitetów, rad poświęconych Polonii. Jeden z założycieli Fundacji Polonia Semper Fidelis. Inicjator i współzałożyciel Polskiego Stowarzyszenia Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie z siedzibą w Paryżu i kanclerz jej Kapituły Nagrody Honorowej „Lutetia”.

Pomysłodawca wyróżnienia za zasługi dla promocji dokonań Polaków w świecie, medalu honorowego „Polonia Semper Fidelis”, ustanowionego przez Senat RP. Wieloletni współpracownik Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie, kierownik Zakładu Biografistyki Polonijnej. W latach (1980-2007) na emigracji we Francji – współzałożyciel (1993) Instytutu Badań Biograficznych w Maisons-Alfort.

Członek Komitetu Redakcyjnego „Roczników” Stacji Naukowej PAN w Paryżu, członkiem honorowy Międzynarodowego Stowarzyszenia Policji IPA (2002), redaktor Wydawnictw Sejmowych w Warszawie (2017–2018), przewodniczącym Rady Fundacji Seneka w Warszawie (2018), współpracownikiem Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego i Muzeum Niepodległości w Warszawie (2008), prorektor Wyższej Szkoły Przyrodniczej w Sandomierzu (2010–2012). Kierownik Zakładu Biografistyki Polonijnej przy Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO) w Londynie.

Inteligentny, erudyta, odważny, dowcipny, otwarty na świat i ludzi. Niestrudzony, tryskał wręcz niewiarygodną energią, bez przerwy niemal wymyślał i planował, co można by jeszcze zrobić, aby „ocalić od zapomnienia”



dorobek polonijny we wszystkich zakątkach świata. Chyba nikt nie ma i nie miał takiej listy adresowej działaczy, dziennikarzy, polityków, biznesmenów, pisarzy, artystów, naukowców, duchownych, sportowców polskiego pochodzenia, jaką posiadał Zbyszek.

Teraz właśnie, wiosną, miały być ukończone prace nad wydawnictwem poświęconym polskim aktorom i twórcom filmowym grającym i tworzącym na całym świecie. Pracowałam właśnie nad materiałami „Trzy pokolenia aktorek – Julia Helena Młynarczyk, Monique Stalens, Juliette Binoche (babunia, mama, wnuczka)” i „Helena Makowska – zapomniana polska aktorka i piosenkarka

z Włoch”, kiedy dotarła do mnie wiadomość o śmierci Zbyszka. Oniemiałam! Wszystkiego można było się spodziewać, ale nie śmierci Zbyszka! Tak go wszyscy nazywaliśmy. Potrafił stworzyć niezwykle i przyjacielskie więzy sobą i wszystkimi współpracownikami. Każda rozmowa z nim to była intelektualna przyjemność. Pamiętam nasze spotkania w Warszawie, każdy jego rozmówca czuł się wyjątkowy. Otwarty był na wszelkie niewiarygodne pomysły. Marzyło mu się wydawnictwo o polskiej arystokracji na świecie i sympozjum, nad którym mogła by objąć honorowy patronat belgijska Królowa, Matylda, córka Anny Komorowskiej...

Od kilku lat starał się o wybudowanie Pomnika Polonii w Warszawie. Projekt już był gotowy! Ostatnio pracował także wspólnie z członkami Światowej Rady Badań nad Polonią nad Portalem Dziedzictwa Polonii. Marzyło mu się wydanie kolejnego, III tomu „Twórców wizerunku Polonii” – przepięknego albumu poświęconego zasłużonym Polakom na świecie.

Zbigniew Andrzej Judycki urodził się 4 września 1948 roku w Opatowie. Dzieciństwo i młodość spędził w Polsce, ale przez wiele lat żył i pracował we Francji. Na Uj w Krakowie ukończył studia prawniczo-administracyjne, potem studia podyplomowe z zakresu prawa gospodarczego na AE w Poznaniu. W Toruniu studiował etnografię.



Targi Książki w Warszawie, 2019 r., od lewej: prof. Zbigniew Judycki, Magdalena Bykowska-Pignard –Prezes Polskiego Stowarzyszenia Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie z siedzibą w Paryżu i pisarka Joanna Sokotowska-Gwizdka fot. APAJTE

Rozprawę „Polacy w rzymskiej purpurze” – napisał i obronił w Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO), uzyskał (1995) stopień doktora w zakresie historii a rok później stopień doktora habilitowanego. Ta ostatnia praca dotyczyła Polonii Francuskiej: „Wkład Polaków i osób polskiego pochodzenia w historię, naukę i kulturę Francji na przestrzeni wieków”

Niestety, podobnie jak wiele osób, które swoje stopnie naukowe zdobyły na tej uczelni po grudniu 1990 roku, Zbigniew Judycki spotkał się z zarzutami, że stopnie które posiadał nie są ważne, ponieważ nie są w Polsce uznawane. Winę za zaistniałą sytuację ponosiły wyłącznie władze III Rzeczypospolitej Polskiej, ponieważ na mocy ustawy z 6 lutego 1998 r. „o uznaniu stopni i tytułów zawodowych nadanych przez Polski Uniwersytet na Obczyźnie” „za równorzędne” krajowym „stopniom naukowym, dyplomom i tytułom zawodowym” uznały one wyłącznie „stopnie naukowe, dyplomy i tytuły zawodowe nadane przez Polski Uniwersytet na Obczyźnie z siedzibą w Londynie w okresie od dnia 1 września 1952 r. do dnia 22 grudnia 1990”. Nikt nie wziął pod uwagę faktu, że w tym okresie liczni studenci i badacze mieli już głęboko zaawansowane prace naukowe.

Sprawa ta była dla niego bardzo bolesna, bo przecież nikt nie podważał jego dorobku, ale dyskusje nad jego tytułem profesorskim sprawiały przykrość. Współpraca Judyckiego z PUNO nadal trwała, prof. Judycki w 1995 roku założył Zakład Biografistyki Polonijnej, którym kierował przez 28 lat.

Jednocześnie pracował we Francji. Kierował „Institut de Recherches Biographiques” w Paryżu, potem w Vaudricourt. Jako niezależny dziennikarz przez cały czas pisał liczne materiały publikowane w pismach polonijnych. Był współwłaścicielem wydawnictwa „Albi Corvi” we Francji.

W 2008 roku wrócił do Polski. Początkowo pracował jako główny specjalista oraz pełnomocnik komendanta głównego ds. popularyzacji i historii Policji w Komendzie Głównej Policji w Warszawie (2008-2012); potem był prorektorem Wyższej Szkoły Humanistyczno-Przyrodniczej w Sandomierzu (2010-2012), doradcą marszałka województwa mazowieckiego ds. Polonii i spraw zagranicznych (2011), ekspertem w Parlamentarnym Zespole ds. Służb Mundurowych Sejmu RP (2012-2015), redaktorem prowadzący w Wydawnictwie Sejmowym w Warszawie (2017-2018), przewodniczącym Rady Fundacji „Sedeka”, współpracownikiem Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego oraz Muzeum Niepodległości w Warszawie.

Jego zasługi w zakresie biografistyki polonijnej są ogromne. Artykuły, słowniki, wywiady, pamiętniki, publikacje elektroniczne zbiory dokumentacji fotograficznej i filmowej – niektóre pisał sam, inne były efektem współpracy z badaczami polonijnymi rozrzuconymi po całym świecie.



Autor projektu: artysta Tadeusz Kurek

Był laureatem wielu nagród, m. in. wyróżnienia honorowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, francuskich historyków Piarron de Chamoussset i „Fidelis Poloniae”, Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach (w 2008 r. otrzymał tytuł honorowego profesora tej uczelni). Otrzymał nagrodę honorową za najciekawszą publikację Salonu Książki Polonijnej w Brukseli (2000), nagrodę Rady Porozumiewawczej Badań nad Polonią w Toruniu (2000), nagrodę Miasta Kielce (2000), nagrodę Złotego Lauru Polonii (2006), nagrodę „Labor Omnia Vincit” (2007). Za swoje zasługi został też uhonorowany: Złotym Medalem Zasługi, medalem „Pro Memoria” (2005), medalem „Benemerti in Opere Fundatio Joannis Pavli PP. II” (2006), medalem Arthura Troppa, medalem Exuli Bene de Ecclesia Merito (Rzym), odznaką honorową „Bene Merito” (MSZ 2019). W 2021 roku otrzymał też tytuł doktora honoris causa PUNO.

We wstępie do „Twórców wizerunku Polonii” pisał:

„Polscy emigranci budowali i budują swoje życie, wrastając w społeczności wielu krajów świata, nie zapominając jednocześnie o swoim pochodzeniu. W trudnych momentach naszej historii Polonia miała ogromny wpływ na losy Polski, aktywnie wspierała nasze dążenia do niepodległości, wspomagała i czynnie uczestniczyła w odbudowywaniu polskiego państwa. Względny polityczny okres PRL-u sprawiły, że o Polonii mówiło się półprawdy, albo nie mówiło się wcale. To zaważyło na historiografii, na możliwościach przekazu osiągnięć i wkładu w rozwój światowej cywilizacji Polaków mieszkających na obczyźnie. Konsekwencją tego stanu rzeczy jest brak wiedzy o udziale Polonii w formowaniu współczesnej cywilizacji, a także błędy polegające na zaliczaniu Polaków do innych narodowości. Na dzieje Polonii rozsiępane na wszystkich kontynentach składają się w znacznej mierze osiągnięcia indywidualne. Niestety większość tych osiągnięć – niejednokrotnie godnych podziwu czy wręcz bohaterów – ulega kompletnemu zapomnieniu. Nie znalazły również pełnego odzwierciedlenia w zagranicznych publikacjach słownikowych,

które często nie informują o polskim rodowodzie danej osoby”.

Zbyszku, kto teraz będzie pamiętał o kontynuacji Twojej długoletniej pracy nad biografią Polonii? Powinniśmy to chyba zrobić przede wszystkim my, Polacy na emigracji. W ten sposób może choć trochę uda nam się podążyć za Twoimi marzeniami...

ŻEGNAJ ZBYSZKU!
ANNA FRANÇOIS-KOS

Dziękuję Aniu za piękny, w wielkim skrócie rzecz jasna, opis niestrudzonego życia Zbyszka Judyckiego. To dzięki Tobie, w redakcji Twojego belgijskiego miesięcznika Pol Echo poznałam Zbyszka. Tak samo jak Wandę Sieradzką, Andrzeja Tylko Tylczyńskiego i innych wspaniałych twórców wizerunku Polonii. Masz rację, kto po Zbyszku przejmie tę cenną działalność biografistyki polonijnej? Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych, czyżby? Zbierałam dla Zbyszka informacje o wybitnych, często skromnych, żyjących wśród nas Polonusach. On o nich pisał, my pomagałyśmy ich odnaleźć. Tak jak ostatnia nasza akcja, o której Aniu wspominasz: praca nad kolejną książką o aktorach i filmowcach. Przygotowywałam sylwetki z Holandii...

Zbyszek był od początku związany z naszą fundacją i pismem „Scena Polska”. Wysoko cenił nasze pismo i promował w środowisku polonijnym. W numerze 2(99)2019 na łamach naszego pisma gościł Maksymilian Judycki, syna profesora. Składamy w tym miejscu wyrazy współczucia rodzinie...

„Odejdzie Zbyszka to bolesny cios dla naszego stowarzyszenia Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie w Paryżu. Mieliliśmy tyle wspólnych planów...” – rozpacza Magdalena Bykowska Pignar, prezes APAJTE.

ŻEGNAMY PRZYJACIELU
ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ,
MAGDALENA BYKOWSKA-PIGNAR,
ANDRZEJ SKIBNIEWSKI

Dzień Króla – Koningsdag – 27 kwietnia

Holandia to barwny kraj, takie więc są też obchody Dnia Króla (Koningsdag). Zamiast uroczystych wojskowych defilad i wystąpień, w całym kraju odbywają się festyny, jarmarki czy koncerty na świeżym powietrzu. Każdy przykładowy obywatel powinien z tej okazji założyć coś pomarańczowego.

Historia Dnia Króla

Celebrowanie święta narodziło się pod koniec XIX wieku. 31 sierpnia 1885 roku, wskutek inicjatywy Unii Liberalnej, publicznie obchodzono piąte urodziny księżniczki Wilhelminy. Wydarzenie to nazwano Dniem Księżniczki (Prinsessedag), a solenizantka paradowała ulicami Utrechtu, machając do zgromadzonych tłumów. Gdy dziewczyna po śmierci ojca Wilhelma III wstąpiła na tron, święto przemianowano na Dzień Królowej (Koninginnedag). Wraz z upływem lat impreza cieszyła się coraz większym zainteresowaniem, a jednym z przełomowych momentów był rok 1902, kiedy świętowano cudowne wyzdrowienie władczyni. Od lat 50. święto transmitowane było przez telewizję. W tym czasie imprezę obchodzono już 30 kwietnia, ponieważ to dzień urodzin Juliany, która została koronowana na władczynię Holandii w 1948 roku. Ta data utrzymała się aż do 2013 roku, bowiem jej następczyni Be-

atrix (urodziny 31 stycznia) pozostała przy starym terminie. Królowa wprowadziła jednak inne zmiany, mianowicie od 1981 roku w dniu święta odwiedzała jedno lub kilka holenderskich miast, podczas gdy jej matka organizowała z okazji święta paradę kwiatową w pałacu Soestdijk. 30 kwietnia 2013 roku Beatrix abdykowała, a na tron wstąpił jej syn Willem Alexander. Stąd też Dzień Króla przypada aktualnie 27 kwietnia, ale jeśli jest to niedziela, wtedy zabawa przesunięta zostaje na 26 kwietnia. Wielu pracodawców daje swoim pracownikom dzień wolny, by mogli świętować wraz z monarchą.

Dzień Króla w Holandii

Holendrzy znani są z luźnego podejścia do życia, stąd i obchody wydawać by się mogły uroczystego święta, przebiegają w swobodnej, wesołej atmosferze. Wiele osób zaczyna nawet zabawę już poprzedzającego wieczora, nazywanego Koningsnacht. W dniu święta holenderskie miasta są pomarańczowe – to kolor monarchy, więc obywatele zakładają ubrania w tym kolorze, czapki, okulary, farbują włosy. Królewskimi barwami przyozdabia się też wiele miejsc i przedmiotów, wszędzie wiszą flagi oraz balony. Ludzie rozkładają różnorodne stoiska, pchle targi i jarmarki, bowiem w Dniu Króla można handlować bez zezwolenia i ko-

nieczności płacenia podatków. Holendrzy sprzedają więc wszystko co możliwe – ubrania, przedmioty gospodarstwa domowego, książki czy własne wypieki, dzieci zarabiają natomiast pierwsze pieniądze handlując zabawkami. Zadowoleni są z pewnością sprzedawcy piwa, bowiem w dniu urodzin monarchy Holendrzy nie żałują sobie złocistego napoju, wiele osób spożywa też sok z pomarańczy. Dzień Króla w Holandii to także parady, festyny i koncerty muzyczne oraz mnóstwo atrakcji dla dzieci. Największe koncerty odbywają się oczywiście w dużych miastach, jak Amsterdam, Haga, Rotterdam, Utrecht czy Eindhoven. Kto wybiera się do tych ośrodków, musi pamiętać, że korki mogą skutecznie go opóźnić. Nie tylko na drogach, ale także na wodzie. Słynne kanały w stolicy są pełne łodzi, kajaków i innych typów pływającego sprzętu, na których bawią się Holendrzy i oczywiście turyści. Każdego roku monarcha odwiedza jedno wybrane miasto (jego matka Beatrix wizytowała dwa), które z tej okazji organizuje wyjątkowe obchody, m.in. paradę z konkretnym tematem lub wspólnym wątkiem, np. związanym z muzyką, sportem, historią. Pobyt króla i jego rodziny transmitowany jest na żywo w publicznej telewizji. ■

<https://bimkal.pl/holandia/dzien-krola>



W Dniu Króla można handlować wszędzie!

Fot. ZSCZ

Pani Margareta Kassangana – Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny RP w Królestwie Niderlandów

Urodziła się 22 kwietnia 1975 r. w Warszawie. Jest absolwentką Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, na kierunku stosunki międzynarodowe (dyplom 1994 r.) i podyplomowych studiów z zakresu integracji europejskiej, Uniwersytetu w Maastricht (2001 r.). Swoją karierę w administracji państwowej rozpoczęła w 1999 r., w Ministerstwie Pracy i Polityki Społecznej, gdzie jako ekspert zajmowała się współpracą Polski z Międzynarodową Organizacją Pracy. W kwietniu 2001 r. podjęła pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Departamencie Spraw Ekonomicznych i Społecznych ONZ, gdzie prowadziła sprawy współpracy Polski z organizacjami wyspecjalizowanymi systemu Narodów Zjednoczonych. W 2004 r. objęła stanowisko II sekretarza w Stałym Przedstawicielstwie RP w Genewie, zajmując się problematyką humanitarną, uchodźców i migracji. Od grudnia 2007 r. do grudnia 2010 r. pracowała w Komisji Europejskiej w Brukseli, w Dyrekcji Generalnej ds. Stosunków Zewnętrznych. Po jej przekształceniu w Europejską Służbę Działań Zewnętrznych od stycznia 2010 r. do października 2011 r. kontynuowała pracę tamże, w Departamencie Praw Człowieka i Problemów Globalnych, zajmując się m. in. współpracą Unii Europejskiej i organizacji systemu Narodów Zjednoczonych w zakresie uchodźców, migracji, praw kobiet i dzieci. Po powrocie do Warszawy w październiku 2011 r. podjęła pracę jako naczelnik wydziału współpracy z placówkami w Departamencie Dyplomacji Publicznej i Kulturalnej MSZ, będąc jednocześnie odpowiedzialna za relacje z krajami Beneluksu. W latach 2013 – 2015 pełniła funkcję wicedyrektor Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu odpowiedzialnej za współpracę z krajami Afryki Subsaharyjskiej. W 2015 r. objęła stanowisko zastępcy Stałego Przedstawiciela RP przy Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, gdzie prowadziła problematykę operacji pokojowych, pełniła m. in. funkcję wiceprzewodniczącej Komitetu Zgromadzania Ogólnego ds. Operacji pokojowych, jednak jej głównym, zakończonym sukcesem, zadaniem była praca związana z kampanią



Król Willem Alexander i Ambasador Margareta Kassangana

fot. Jeroen Van der Heyde

Polski do Rady Bezpieczeństwa ONZ. Od stycznia 2018 r. do listopada 2022 r. była Ambasadorom Nadzwyczajnym i Pełnomocnym RP w Republice Senegal, a także Burkina Faso, Republice Gwinei Bissau, Republice Gwinei, Gambii, Mali, Wybrze-



Serdecznie witamy!

Fot. arch. SP

zu Kości Słoniowej i Wyspach Zielonego Przylądka, z siedzibą w Dakarze. Podczas swojej misji doprowadziła do intensyfikacji relacji politycznych, gospodarczych, a także w dziedzinie bezpieczeństwa z krajami swojej akredytacji. Za swoje zasługi na rzecz rozwijania relacji pomiędzy RP a Senegalem została udekorowana przez Prezydenta Republiki Senegal krzyżem komandorskim Narodowego Orderu Lwa – najwyższym odznaczeniem senegalskim, a za wspieranie współpracy wojskowej, w tym doprowadzenie do podpisania porozumienia pomiędzy ministerstwami obrony Polski i Senegal, Złotym Medalem za Zasługi dla Obronności Kraju Ministra Obrony Narodowej RP.

Pani Margareta Kassangana włada językiem polskim (język ojczysty), francuskim i angielskim. ■

[HTTPS://WWW.GOV.PL/WEB/HOLANDIA/AMBASADOR](https://www.gov.pl/web/holandia/ambasador)

30 lat „Domu Holenderskiego” w Warszawie

Zrealizowane marzenie


RYSZARD ŻELICHOWSKI

W kwietniu 2023 r. minęła 30 rocznica otwarcia w Warszawie na Saskiej Kępie „Domu Holenderskiego” (DH). Jest to polski prywatny, samofinansujący się instytut kultury i języka niderlandzkiego. Od początku „DH” był siedzibą Towarzystwa Przyjaciółni Polsko-Niderlandzkiej (TPPN), które po 35 latach istnienia, w 2020 r. zakończyło swoją działalność. Obecnie realizację celów TPPN kontynuuje, choć w nieco innej formule, Fundacja „Dom Holenderski” powołana do życia w 1992 r.

Na początek kilka słów wyjaśnienia, skąd ta nazwa. Po pierwsze, był to pomysł historyczki sztuki z Hagi, Lucji Thijssen, autorki znakomitej książki *Polska i Niderlandy. 1000 lat kontaktów*. Zafascynowana różnorodnością tych kontaktów zaproponowała polskim przyjaciołom stworzenie sieci „domów holenderskich”. Po drugie, nazwa „Dom Holenderski” wydawała się naturalna, bowiem w tym okresie oficjalnie posługiwaliśmy się nazwą Królestwo Holandii, z mieszkającymi w nim Holendrami. Dla historyków, geografów, politologów nie było jasne, czy skoro mowa o Holendrach, to z której są części Holandii (Północnej czy Południowej)? A co z Fryzami, Brabantczykami, Flamandami – też przecież Holendrami? Uporządkowanie w 1987 r. nazewnictwa (Królestwo Niderlandów, język i literatura niderlandzka, Niderlandy, Niderlandczyk) dylemat ten rozwiązało. Nazwa „Dom Holenderski” jednak pozostała.

Pomysł Lucji Thijssen zrealizowany został częściowo, bowiem „Domy Holenderskie” powstały jedynie w Warszawie i Gdańsku. W tym drugim przypadku, inwestycja miała charakter komercyjny i w konsekwencji, w centralnej części miasta na Długim Targu, powstał ekskluzywny hotel „Holland House”.

Początek i koniec pewnej epoki

Inaczej potoczyły się losy „Domu Holenderskiego” w Warszawie. Warto przypomnieć, że w XVII w. na Saską Kępę przybyła grupa osadników z Niderlandów (Holandii?) z zadaniem umocnienia skarpy wiślanej.



Willa Bohdana Lacherta przy ul Katowickiej 9, siedziba Fundacji „Dom Holenderski”



„DH” na planie filmowym (2007 r.). Od lewej: aktor Jan Frycz, Agnieszka Bienias (obecnie Prezes Fundacji „DH”), Ryszard Żelichowski (ówczesny Prezes TPPN i Fundacji „DH”) oraz reżyser Łukasz Barczyk.

Produkty rolne z ich gospodarstw cieszyły się wielką popularnością wśród mieszkańców miasta, a do końca XVIII wieku ta część Warszawy nazywana była Kępą Olenderską. Powstanie „DH” w nadwiślańskiej dzielnicy to niezwykle i szczęśliwy zbieg okoliczności. Wiąże się on z postacią wielkiego polskiego prawnika, profesora Manfreda Lachsa, przewodniczącego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze, a potem jego sędzią. Utworzone przeze mnie „TPPN” (pierwotnie Towarzystwo Polsko-Holenderskie, jako „siostrzana” organizacja Stichting Nederland-Polen Lisetty Stembor, znakomitej tłumaczki literatury polskiej) nie ustawało w poszukiwaniu stałej siedziby. Przyszedł moment (koniec lat 80.), gdy zastukałem do drzwi profesora Lachsa w Hadze. Profesor entuzjastycznie odniósł się do tego pomysłu. Zgodził się na udział w tworzonej w Polsce Fundacji, której głównym celem miało być znalezienie środków na

budowę wspomnianej siedziby. Przy wykozystaniu pozycji Profesora w świecie polskiej i niderlandzkiej elity politycznej, wydawało się to sprawą prostą. Skład Rady Fundacji „Dom Holenderski” wyglądał imponująco, zarówno po stronie polskiej jak i niderlandzkiej. Do zarejestrowanej w 1992 r. Fundacji profesor Lachs zdecydował się wnieść aportem swój dom na Saskiej Kępie. Był to hojny dar, a dla nas szczęśliwy moment. Odtąd mieliśmy siedzibę, zarówno dla TPPN jak i dla Fundacji!

Kilka miesięcy później dotarła do nas tragiczna informacja. W nocy z 13 na 14 stycznia 1993 r. profesor Lachs zmarł nagle. W Warszawie odbył się Jego pogrzeb z honorami wojskowymi i wieńcem od ówczesnej królowej Niderlandów, Beatrix. Profesor Manfred Lachs (1914-1993) pochowany został w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach.



Pisarz W.F. Hermans w „Domu Holenderskim” (2003 r.) Obok. Od lewej: dr Zofia Klimaszewska, kierownik Zakładu Niderlandystyki na Uniwersytecie Warszawskim, Elisabeth Gosses (żona ambasadora Niderlandów) oraz Hanna Żelichowska (przez lata skarbnik TPPN).



Otwarcie Domu Holenderskiego – kwiecień 1993 – prof. Szuber, Zofia Klimaszewska, Lisetta Stembor

Nasz „złoty wiek”

Tymczasem, w Warszawie pierwszym demokratycznie wybranym prezydentem został dr nauk ekonomicznych, urbanista, Stanisław Wyganowski (1919-2017). W czasie jednej z wizyt w Niderlandach zaprzyjaźnił się z burmistrzem Hagi, dr. praw, Adem Havermansem (1934-2022). Owocem tych kontaktów było stworzenie, popularnego wówczas wśród samorządowców, partnerstwa w postaci tzw. miast-bliźniaczych. Nasza stołeczna struktura nosiła nazwę Towarzystwo Współpracy Miast Haga-Warszawa, jej haski odpowiednik – Stichting Stedeband Den Haag-Warschau. Na wiosnę 1993 r. burmistrz Hagi zaplanował swoją wizytę w Warszawie, której ważnym elementem miało być uroczyste otwarcie „Domu Holenderskiego”. Wydarzenie to przygotowane zostało we współpracy z biurem prezydenta Wyganowskiego.

Wszystko poszło zgodnie z planem. W dniu 16 kwietnia, w przyjacielskiej atmosferze, wstęgę przecięli obaj władarze swoich miast, Warszawy i Hagi, inaugurując działalność „DH”. W czerwcu tego roku zmarł, zmagający się od roku z ciężką chorobą, profesor Zbigniew Kamecki (1930-1993), świet-

ny ekonomista, pracownik naukowy Szkoły Głównej Handlowej (wówczas SGPiS), jeden z głównych negocjatorów handlowej części umowy Polski z EWG oraz umów o utworzeniu strefy wolnego handlu między Polską a krajami EFTA i CEFTA. Profesor Kamecki był pierwszym prezesem Towarzystwa Polsko-Holenderskiego (TPH) oraz jednym z fundatorów Fundacji „DH”. Niestety, choroba nie pozwoliła Mu na uczestnictwo w uroczystym otwarciu naszej siedziby.

Nasz „złoty wiek” to lata 1992-2004. Działaliśmy w ramach TPH, później TPPN i Fundacji „DH”. Gościliśmy wtedy wielkiego pisarza niderlandzkiego Willema Frederika Hermansa, pisarza flamandzkiego Jozefa Deleu oraz historyka Geerta Maka oraz inne ciekawe osobistości ze świata kultury, nauki i polityki. Na lata 2004 – 2007 przypada rozwój Internetu, oferującego wszelkie informacje o Niderlandach, oraz oczekiwana możliwość bezwizowego przemieszczania się po Europie. Jako organizacja non-profit oparta na wolontariacie, odczuliśmy zmniejszone zainteresowanie społeczne działalnością „klubową” TPPN i czytelnictwem prasy oraz książek zgromadzonych w bibliotece „DH”.

W następnych latach otwarty został rynek pracy w Niderlandach dla obywateli polskich i wiele ułatwień w kontaktach między obu krajami. Coraz mniej było młodych ludzi zainteresowanych poznawaniem Królestwa Niderlandów poprzez udział w działalności TPPN a nawet w kursach języka niderlandzkiego, które nadal prowadziliśmy. Każdy zainteresowany obywatel polski mógł się uczyć tego języka w ojczyźnie tulipanów. Pozostali z nami tylko najwierniejsi członkowie, dla których urządzaliśmy spotkania tematyczne oraz świąteczne, przy filiżance dobrej kawy i znakomitych ciastach ze słynnej na Saskiej Kępie cukierni „Irena”. Szeregi nasze topniały, partnerskie organizacje w Niderlandach, wraz z zejściem z ziemskiego padole swoich założycieli, zniknęły z przestrzeni publicznej. Te lata bez żadnej wątpliwości można ocenić jako okres schyłkowy dla TPPN. Stałem przed dramatyczną decyzją o rozwiązaniu organizacji w 2020 r. i przeniesieniu jej celów statutowych do Fundacji „Dom Holenderski”.

Nasza siedziba w willi Bohdana Lacherta przy ulicy Katowickiej 9, w architektonicznym zabytku polskiego modernizmu, pod nowym kierownictwem Fundacji „DH” tętni życiem, są nowe pomysły, są chętni do nowoczesnie prowadzonej nauki języka niderlandzkiego. Szukamy też nowej formuły działalności na te nowe czasy.

Podsumowując cztery dekady moich fascynacji historią i kulturą Niderlandów, mogę z satysfakcją powiedzieć, że marzenie swoje zrealizowałem.

Dziękuję Redakcji „Sceny Polskiej”, że z tej okazji użyczyła swoich łam, abym mógł podzielić się z Czytelnikami refleksjami na temat naszego dorobku i związku z Niderlandami, co zrobiłem z wielką przyjemnością.

RYSZARD ŻELICHOWSKI

Notka o autorze:

Profesor dr hab. Ryszard Żelichowski (ur. 1946), polski historyk, politolog i varsavianista, specjalista od państw obszaru języka niderlandzkiego. Pracuje w Zakładzie Europeistyki Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk. Założyciel i były prezes Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Niderlandzkiej (wcześniej TPH) oraz Fundacji „Dom Holenderski”. *Ridder in de Orde van Oranje-Nassau* (2003).

Autor książek, m.in.: *Antyle Holenderskie – słoneczna strona Królestwa Niderlandów, Seria „Europa w skali mikro”, ISP PAN, Warszawa 2022; Flandria, Seria „Europa w skali mikro”, ISP PAN, Warszawa 2018; Baarle-Nassau-Hertog, Seria „Europa w skali mikro”, ISP PAN, Warszawa 2015; Stosunki polsko-holenderskie w Europie pojaltańskiej, ISP PAN, Warszawa 2014; Stosunki polsko-holenderskie w Europie powersalskiej, ISP PAN, Warszawa 2013. Szerzej o autorze zob.: https://pl.wikipedia.org/wiki/Ryszard_Żelichowski <http://www.tppn.pl/>*

Krzysztof Dębski – 50 lat pracy artystycznej!

Krzysztof Dębski, obchodzący w 2023 roku 70. rocznicę urodzin, należy do najbardziej wyrazistych postaci polskiej sceny muzycznej. Uznany dyrygent orkiestrowy a także wirtuoz jazzowych skrzypiec i pianista. Porusza się równie swobodnie w świecie jazzu jak i muzyki klasycznej. Sam artysta zaznacza, że muzyka klasyczna jest jego domeną.



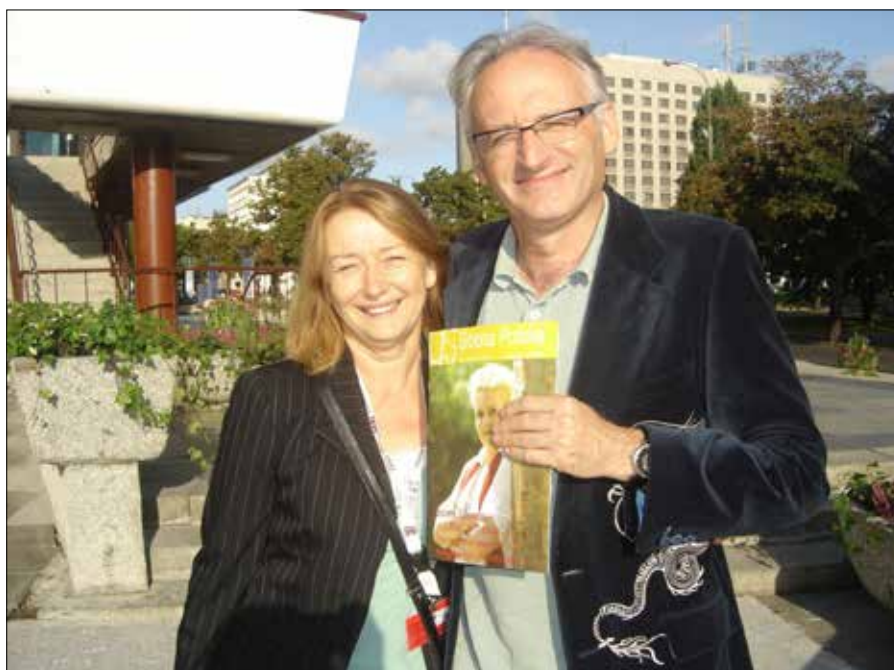
Krzysztof Dębski jest też znanym liderem zespołów, m.in. String Connection. Jako skrzypek koncertował z tym zespołem od 1980 r. w Europie oraz USA i Kanadzie.

Wszelkoniemnie wykształcony muzyk studiował w poznańskiej Akademii Muzycznej im. I. J. Paderewskiego; kompozycję studiował u Andrzeja Koszewskiego oraz dyrygenturę u Witolda Krzemińskiego. Sam jest również wykładowcą na poznańskiej uczelni.

Krzysztof Dębski zyskał uznanie i sławę, jako twórca dzieł symfonicznych, oratoryjnych i solowych, które z powodzeniem prezentowane były na scenach wielu filharmonii.

Krzysztof Dębski skomponował muzykę do 46 filmów pełnometrażowych, m.in. do popularnej ekranizacji „Ogniem i mieczem”. Za muzykę do tego filmu jej autor otrzymał w roku 1999 Fryderyka w kategorii Kompozytor Roku, a także nagrodę Philip Award w roku 2000.

Dębski skomponował muzykę także do takich obrazów, jak „Kinagsajz”, „Déja vu”, „Szwadron”, „V.I.P.”, „Goodbye Rockefeller”, „Bitwa Warszawska”. Jest też autorem muzyki do 26 seriali, m.in. do „Złotopolskich”, „Na dobre i na złe”, „Na Wspólnej” oraz do „Rancza”.



Krzysztof Dębski jest laureatem I nagrody światowego Konkursu Jazzowego w Hoeillart w Belgii. Wielokrotnie zdobywał tytuł Najlepszego Skrzypka, Kompozytora, Aranżera Roku w ankietach magazynu „Jazz Forum”. W 1985 r. znalazł się na liście 10 najlepszych skrzypków jazzowych amerykańskiego pisma „Down Beat”. Jest członkiem Europejskiej Akademii Filmowej (EFA).

W Holandii gościł na zaproszenie Sceny Polskiej z okazji pokazu filmu „Bitwa Warszawska” dla którego skomponował muzykę. Wybitny muzyk należy do grona czytelników Sceny Polskiej.

Wielkie gratulacje z okazji Jubileuszu i czekamy na koncerty w Królestwie Niderlandów!



Salon Poetycko – Muzyczny im. Wandy Sieradzkiej

Salon Poetycko-Muzyczny przy Scenie Polskiej powstał w styczniu 2009 r dla upamiętnienia twórczości Wandy Sieradzkiej de Ruig (odeszła rok wcześniej) i zachowania pamięci o Niej. Na początku były to spotkania, podczas których czytaliśmy wiersze Jej, ale i wiersze innych mieszkających w Holandii poetów. Gośćmi byli też zaprzyjaźnieni ze Sceną Polską muzycy. Wanda mieszkała w Holandii od 1989 roku, była z nami długo i ...za krótko. Najbardziej znany jest tekst Jej piosenki „Nie płacz kiedy odjadę”, którą śpiewaliśmy na wszystkich imprezach, na których się pojawiała. Nie było numeru kwartalnika „Sceny Polskiej” bez Jej wiersza. Pisała proste, trafiające do serc teksty. Na łamach „Sceny Polskiej” przypominamy Jej wiersze i prezentujemy interesujących poetów.

Gościem Salonu jest poeta Roman Chojnacki



Roman Chojnacki (ur. 1954 r.) ukończył polonistykę na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Pracował jako sekretarz literacki w Teatrze Nowym w Poznaniu. W latach 80-tych związał się z opozycją demokratyczną, w efekcie czego został przymusowo wcielony do wojska. W r. 1986 wyemigrował do USA i Kanady, skąd wrócił w r. 2018 r.

Pierwszy tomik wierszy – „Apel poległych” – opublikował w 1983 r. w bibliotece Teatru Nowego. Wiersze pisze i wydaje systematycznie. Ostatnie zbiory jego wierszy to: „Do prywatnego użytku”, Toronto 2016, „Dla tego życia”, Poznań 2018, „Pasterz słoneczników”, Szczecin 2021.

Piosenka o Polsce

*Moja pierwsza kobieta miała smukłe małe stopy
Pieściła nimi sękatę mchy i wysokie progi*

*Moja druga kobieta miała smutne białe serce
Nosiła je dumnie jak każda ulicznica*

*Moja trzecia kobieta miała mało słów na obronę
Chociaż podobno narodziła się z bajki i lubiła
Kochać się w bramie kościoła św. Jana*

*Moja ostatnia kobieta zamieszkała we mnie
Jest zwykle zmęczona światem i zakupami
Umiera czasem w drzwiach do mieszkania
I nie zdąży dojść do pańskiego stołu*

*Nigdy za wiele kobiet by napić się dobrej krwi
Z nadgarstka lub wody z rynny lub zimnej wódki
Prosto z karafki w kąciku piwnicy
W pustym domu nucąc zapomniany hymn*

Pościel

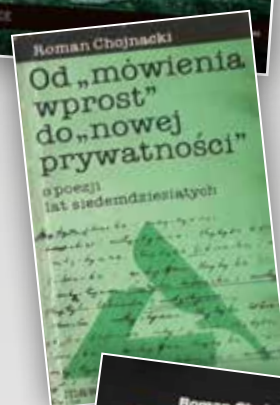
*Jak każdego ranka Alina układa pościel na łóżku.
Nie robi tego pośpiesznie; mówi, że
łóżko musi od nas odpocząć po długiej nocy,
nabrać siły, pożywić się ciszą i bezruchem.*

*Nie klepie poduszek, bo chociaż są bezkręgowcami
może je to zaboлеć. Nie naciąga prześcieradła w poprzek
jego zmarszczek bo a nuż bolą je nici,
krawędzi uszu lub cierpi na ischias.*

*Szczególnie czule traktuje kołdrę, dba, by nie wypadły z niej
sny i wspomnienia, odciski rąk, stóp i rosa oddechów.
Chce, by pościel dobrze wyspała się za dnia,
więc czasem zanuci jej po cichu starą kołysankę.*

*W okolicach marca zaczyna wyprowadzać ją na spacer
do ogrodu za domem, daje jej czas na słuchanie wiatru
i rozgrzewkę w słońcu, a gdy ubrudzi się kurzem cierpliwie
myje ją w letniej wodzie i waniliowym proszku.*

*Jest jej za to wdzięczna: każdego dnia przed północą
czeka na nią, potulna, miękka, pachnąca.
Gdy Alina mówi do niej „witaj”, poruszona sobą pościel mówi
„dobranoc” i wszystko w sypialni żyje długo i szczęśliwie.*



ROMAN CHOJNACKI

Wierszowisko 2023

Festiwal Polskiej Poezji dla Dzieci Wierszowisko czyli konkurs recytatorski dla polonijnych uczniów z Holandii odbył się 19 marca 2023 roku, w teatrze 't Mozaiek w Wijchen. Od 2023 Wierszowisko zmieniło formułę – od tego roku jest to wydarzenie w cyklu dwuletnim. Występy indywidualne oraz grupowe odbywać się będą naprzemiennie. W 2023 roku obejrzałyśmy recytacje indywidualne dzieci w kategoriach wiekowych od 4 do 18 roku życia. W 2024 szkoły polonijne zaprezentują występy grupowe. Nowością w tym roku była kategoria duety.

Temat Wierszowiska 2023:

„I łaciate, i kudłate, przegowane i skrzydlate te co skaczą i fruują, na Wierszowisko zapraszają”, czyli Wiersze o zwierzętach!

Do udziału w Wierszowisku 2023 zaproszone zostały, jak co roku, wszystkie szkoły członkowskie Forum Polskich Szkół w Holandii. Swoją udział w konkursie zadeklarowało 80 uczniów z 11 szkół polonijnych.

Gościem festiwalu była autorka wielu książek dla dzieci, pani Agnieszka Frączek.

Jej wiersze, oprócz klasyki czyli wierszy Juliana Tuwima i Jana Brzechwy, są najczęściej wybieranymi do recytacji konkursowych. W 2023 roku w repertuarze wybranym przez uczniów były wiersze aż 30 polskich poetów. Usłyszeliśmy najczęściej wierszy autorstwa Jana Brzechwy (aż 24 razy!). Na drugim miejscu uplasowały się wiersze Juliana Tuwima (5 wierszy) oraz współczesnego, krakowskiego pisarza Łukasza Dębskiego (5 wierszy).

Wierszowisko to jedno z największych wydarzeń kulturalnych dla dzieci, a na pewno najdłużej organizowane. Celem festiwalu jest przede wszystkim dobra zabawa, możliwość zaprezentowania się na prawdziwej scenie, udoskonalenie zdolności recytatorskich i aktorskich, poznanie polskiej poezji dla dzieci, promowanie polskiego języka i docenienie wysiłków dzieci w jego naukę.

Uczestników oceniało jury składające się z przedstawicieli organizacji oświatowych, osób związanych z teatrem, sztuką, nauką i środowiskiem polonijnym.

Przybyła liczna widownia – wydarzenie bezpłatne – można było odwiedzić Wijchen i dopingować młodych polonusów w ich



zmaganiach z językiem polskim, polskimi wierszami. W planie dnia także były atrakcje dodatkowe – w foyer teatru będą zabawy dla dzieci, stoiska sponsorskie i informacyjne organizacji polonijnych. Jak co roku można było spróbować szczęścia w losowaniu nagród za Quiz Wierszowiska. W holu zaprezentowano prace plastyczne dzieci nadesłane na towarzyszący Wierszowisku konkurs plastyczny. Swoje miejsce znalazła także wystawa konkursu fotograficznego „Polska w Obiektywie Polonijnego Dziecka” organizowana również przez Forum Polskich Szkół w Holandii.

AGNIESZKA ŁONSKA

Podwórko



JERZY SKOCZYŁAS

Powracam nieraz wspomnieniem,
spowitym nostalgii chmurką,
do miejsca sercu bliskiemu,
na me dziecięce podwórko.

W zautek beztroskich zabaw,
jakże magiczny i cudny,
a patrząc z lat perspektywy
dość prymitywny i brudny.

Lecz po co komu higiena,
gdy ma się lat sześć lub siedem.
Ten skrawek ziemi za domem
był cudowniejszy niż Eden.

Po szkole się skrzykiwała
wyrostków wesota zgraja,
kopata szmacianą piłkę
lub grała mecz w cymbergaja.

Ścigało się goniąc kółka
po starym, v nierównym bruku,
a kółkiem się sterowało
kawałkiem zgiętego drutu.

Zaś o wieczornej godzinie
bawito się w chowanego
i jeszcze rzecz jasna w berka
zwykłego lub kucanego.

I była skrzypiąca pompa,
pod płotem w gąszczu leszczyny
i wodą z pompy się lato
grające w klasy dziewczyny.

A panny robiąc uniki,
straszliwie przy tym piszczały,
lecz były wodoodporne,
bo wcale nie uciekały.

Chłopaki bawiąc się w wojnę,
toczyli spory dziecięce,
kto będzie dobrym Polakiem,
a kto złym, zabitym Niemcem.

Po deszczu z dziurawej rynny,
płynęła błotnista rzeka
tuż obok centrum kultury,
a był nim miejscowy trzepak.

Tu się gadano, spierano
na temat przyszłości świata,
i każdy musiał się liczyć
z autorytetem trzepaka.

Były też pierwsze podrywy,
gdy w duszy grała muzyka
kiedy ścisła się Jolkę
na tawce koło śmietnika.

Tak było i tak wyglądał
mój dawny raj utracony.
A dziś gdy mijam dzieciaków
wpatrzonych w swoje smartfony.

Gdy widzę jak są znudzeni
współcześni synowie, córki
wlepiając bezmyślnie gaty
w swe wypasione komórki.

Jak patrzą w szybki ekranów,
ubrani w markowe dresy
i zamiast z sobą rozmawiać
kilkaję wciąż esemesy.

To myślę, że myśmy żyli
biedniutko i dość zwyczajnie,
lecz niech mi ktoś udowodni,
że oni dziś mają fajniej.

„Deficyt niebieskich migdałów” o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej



GRAŻYNA GRAMZA

lubię czytać biografie, nawet te fabularyzowane. Pozwalają przeżywać czyjeś życie i przenosić się w czasie. Odrzucają od naszych własnych spraw i od rzeczywistości, która nie zawsze jest dobra. Dają nam też możliwość przeżywania przygód razem z bohaterem i bycia na chwilę kimś innym. Szczególnie te, których akcja dzieje się w czasach, o których myślimy, że były lepsze od naszych, są dla mnie interesujące.

Taką książką jest, wydana pod koniec lutego, powieść Agnieszki Zakrzewskiej pt. „Deficyt niebieskich migdałów”. Jest to opowieść o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, a raczej rodzaj pamiętnika poetki, która sama komentuje wydarzenia ze swojego życia. Autorka za pośrednictwem bohaterki zabiera nas w podróż do świata, w którym najważniejsze są sztuka i luksus oraz intensywne uczucia i namiętności. Poznajemy przede wszystkim Marię, Magdalenę, Wojciecha Kossaka i jego żonę oraz ludzi, którzy w życiu Lilki (tak nazywano Marię) oraz jej bliskich odegrali ważną rolę. Śledzimy codzienne życie rodziny Kossaków. Jesteśmy świadkami pierwszych prób artystycznych Marii i Magdaleny, momentów kiedy zaczynają swoje dorosłe życie oraz wydarzeń, które ukształtowały obie kobiety jako artystki.

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, podobnie jak jej siostra Magdalena Samozwaniec, jest osobą nietuzinkową. Obie należą do barwniejszych postaci w czasach kiedy żyły i tworzyły, a konkurencję w międzywojniu miały przeciwko sobie. Maria pisała wiersze, a Magdalena żartow-

biwie opowiadania i powieści. Obie tworzyły też scenariusze sztuk teatralnych i nawet udawało im się na tym zarobić, co w tamtych czasach nie było tak oczywiste jak dziś, ponieważ kobiety z dobrych domów pozostawały na utrzymaniu mężów, a nie pracowały. Maria była również utalentowana plastycznie, a jej akwarelki wydano jako pocztówki. Nie dziwi to w rodzinie malarzy. Dziadek poetki Juliusz, ojciec Wojciech oraz brat Jerzy byli bardzo znanymi malarzami w przedwojennej Polsce. Co prawda syn Wojciecha żył ciągle w jego cieniu, ale kontynuował rodzinną tradycję i pozostawił po sobie też trochę prac, które dziś wiszą w muzeach.

Autorka pisząc historię Lilki opiera się na faktach, ale skupiła się przede wszystkim na jej życiu miłosnym i przeżyciach związanych z konsekwentnym dążeniem do tego, by tworzyć poezję. Lilka próbuje oderwać się od rzeczywistości i żyć. prze-

obie Kossakówny są rozpieszczone i chimeryczne. Ojciec zadbał o to, by im niczego nie brakowało. Łożył krocie na ich stroje i potrzeby, nawet wtedy gdy miały już własnych mężów (drugich i trzecich – w przypadku Marii). Z książki Agnieszki Zakrzewskiej wiemy, że nie bardzo miały ochotę zajmować się własnym domem, nie nauczyły się prac gospodarskich, a Lilka kiedyś o mało nie spaliła mieszkania, próbując upiec samodzielnie kaczkę. Były stworzone do ważniejszych celów i być może tak było, bo poezja Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej wzrusza niezmiennie do dziś, a proza Samozwaniec nadal śmieszy.

Interesującym według mnie zabiegiem w książce było przywoływanie w niektórych momentach życia Marii wierszy jej autorstwa. Na tle opisywanych wydarzeń ich wydźwięk jest donioślejszy. Pisała je przecież w chwilach zachwytu, ale też wielkiego bólu, więc łatwiej dzięki temu połączeniu nam je zrozumieć.

Jej twórczość doceniono już za życia, kiedy otrzymała Złoty Krzyż Zasługi (1934) oraz Wawrzyn Akademicki (1935). Po śmierci Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej wydano utwory niepublikowane wcześniej, wznowiono te już znane oraz zapiski „Wojnę szatan splotł”. Jej utwory wykonywane były również jako piosenki, śpiewane m.in. przez Ewę Demarczyk, Czesława Niemięna czy Krystynę Jandę. Jeden z wierszy Jasnorzewskiej pojawia się w Gombrowiczowskiej

„Pornografii” wyreżyserowanej przez Jana Jakuba Kolskiego, a na jej cześć nazwano jedną z planetoid – (4114) Jasnorzewska. Gdyby ktoś po lekturze biografii nabrał ochoty na przeczytanie wierszy poetki, to na portalu „Wolne Lektury” znajdzie sporo jej utworów. Tomik „Niebieskie migdały”, którego okładką był holenderski kafelek w biało-niebieskich kolorach, znajduje się w całości w Wikiźródłach.

Na koniec chciałabym jeszcze dodać, że autorka biografii, Agnieszka Zakrzewska napisała tę książkę, kiedy zorientowała się, że Maria Pawlikowska-Jasnorzewska jest jej bratnią duszą. Co skłoniło współczesną pisarkę do takiej myśli? O tym w książce „Deficyt niebieskich migdałów”. ■



żywając wszystko bardzo intensywnie. Marzy i buja w obłokach, a innym wydaje się, że nic nie robi. Stąd też tytuł powieści, nawiązujący również do pierwszego tomiku wierszy, który wydany został w Krakowie w 1922 roku „Niebieskie migdały”. Do końca życia poetka wydała jeszcze 14 tomików poezji, ostatnie dwa już na emigracji w Wielkiej Brytanii.

Czytając tę książkę nietrudno o skojarzenie z „Zalotnicą niebieską”, którą napisała Magdalena Samozwaniec, młodsza siostra poetki. Z obu tych książek przebija zachwyt Magdaleny dla Lilki, która jest absolutnie zachwycona siostrą, jej osobowością, wielkim talentem oraz oryginalnością. Jednak i w tej powieści widzimy egoizm i zadufanie w sobie Marii. Zresztą

Listy do poety*



ALEX SILBER

Szanowny Panie Poeto,

Od jakiegoś czasu bardzo źle sypiam. Najpierw nie mogę zasnąć, a kiedy już się uda, to śpię niespokojnie, często się budząc na skutek koszmarnych snów. Wtedy zrywam się z krzykiem, własnym lub też zasłyszonym we śnie. Ten stan trwa tak już od roku. Jak Pan spojrzy na datę tego listu, to od razu Pan zrozumie przyczynę mojego niepokoju.

Szatan wyłaził z piekła i objawił się swojemu narodowi, a ci uwierzyli w jego piekielny zamysł i idą za nim ślepo, niczym stado baranów. Właściwie to jednak nie tak, oni nie idą ślepo, oni idą z całą świadomością, a jest ich, nie błahostka, sto milionów! Nie pierwszy raz w historii ludzkości pojawia się szalony morderca, który sprytnie mieszając cechy narodowe z wyrachowaną indoktrynacją, potrafi porwać za sobą masy na apokaliptyczną rzeź. Ofiarą padają inne narody. Ale także i swoi. Dla niego jest to bez znaczenia, ludzkie życie jest tanie, nie ważne, swoich czy innych.

Codziennie zalewają nas tragiczne wiadomości, statystyki poległych, w tysiącach, w setkach tysięcy. Wtedy zapominamy, że po każdej z ofiar pozostaje płacząca matka, ojciec, brat, żona, dzieci... Że nad każdym ciałem pochylają ci, co pozostali wraz ze swoimi łzami i nieopisanym bólem. Bestialski morderca na tym nie poprzestaje, postanowił wyprzedzić jeźdźców Apokalipsy rujnując miasta i wsie, szkoły i szpitale, mieszkania – wszystko, aby powalić swoje ofiary i zatriumfować przed wiernymi, a światu pokazać, kto tu jest carem i przed kim należy bić czołem o ziemię w wasalskich pokłonach. Wszystkie wojny są koszmarnie, ale ta jest szczególnie bolesna. Czy dlatego, że tak blisko? Czy dlatego, że najbardziej filmowana w najmniejszych detalach? Czy dlatego, że tak bestialska?

Wiem Mistrzu, co mi odpowiesz, że to już Kain, czyli od zarania dziejów brat zabił brata. I, że nic się nie zmieniło i pewnie się nie zmieni. Kiepska to pociecha i patrząc na ludzkie cierpienie, człowiek raz jeszcze

pyta, dlaczego taki jest świat? Jak to się stało, że z całej bogatej przyrody tylko homo sapiens zabijają bez biologicznej potrzeby?

Ponownie popadam w świat anytpoezji. Kto wie, może czytając mój list spalisz go nie przeczytawszy do końca, może porwiesz na strzępy i nigdy więcej nie otworzysz koperty od tego nadawcy. Jednak pocieszam się, że będąc poetą wiesz, że twórca przekazuje światu to, czym żyje. Kiedy tęskni, pisze o tęsknocie, kiedy płacze, pisze o bólu, a kiedy kocha, o miłości. Jednak w tym kłębówisku horroru niepoprawnie staram się znaleźć, ot chociażby, promyczek nadziei, namiastkę poezji.

I znalazłem! Czuję Twoje westchnienie ulgi, widzę rozchmurzone czoło. Ale ostrzegam, nie oczekuj jakichś wielkich odkryć, głębokiej studni radości.

Odkąd przeprowadziłem się na wieś, odkryłem małe, ale jakże miłe hobby. Otóż około południa kładę na trawie nadmuchiwanym materac, na nim mały jasiek, sam wsuwam się pod koc i patrzę na niebo. Korona wielkiego drzewa rozpościera nade mną łagodny cień i wzbogaca widziany obraz. Czysty błękit przeplata się z zielenią liści. Poruszane wiatrem migają w blasku słońca niczym srebrne blaszki. Zahipnotyzowany tym prostym uroczyskiem przenoszę się w inną krainę, w świat spokoju i piękna. I gdybym miał wybrać dla siebie własną flagę, to nosiłaby właśnie te dwie barwy, błękitu i zieleni. Leżę tak bez ruchu i delektuję się błogim stanem nie myślenia o niczym. Czuję miłe ciepło i łagodny podmuch wiatru, czasem ciszę zakłóci zabłąkany ptak albo szum liści gdzieś w górze. Okazuje się, że nie tylko muzyka, ale i upojenie mogą być minimalistyczne.

Niestety, ta sielanka może nagle prysnąć niczym bańka mydlana, a jej najgorszym wrogiem są własne myśli. Jak wiadomo, mają one tę nieszczęsną naturę, że potrafią się wciskać do mózgu nieproszone, natrętne. A kiedy już tam wtargną, trudno je przegnać. I nigdy nie wiadomo, z której uderzą strony. Ot, na przykład wczoraj nagle pojawiła się myśl o naturze człowieka, o mordercach i ludziach szlachetnych, o terrorystach i dobroczyńcach. Wkrótce też pojawiło się odwieczne pytanie o wolną wolę człowieka. Wiedziałem, że brnę w ślepią uliczkę, bo najtęższe mózgi świata nie znają na to odpowiedzi; geny czy wybór? Dzieciństwo czy wychowanie? Bo jeśli z góry jesteśmy zaprogramowani, a jest to możliwy wariant, to konsekwencje są przerażające.

Na szczęście moje bolesne dywagacje przerwał mały ptaszek. Siadł sobie na buja-

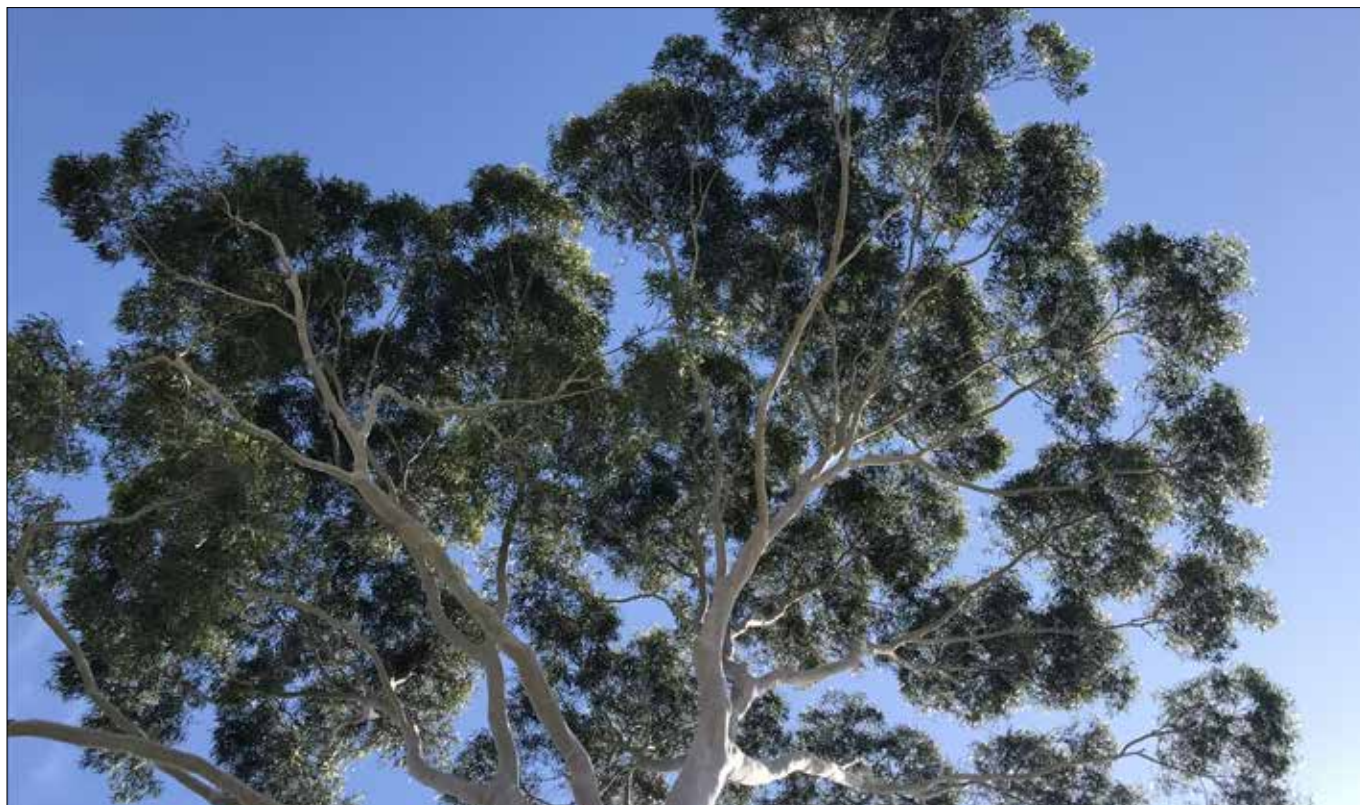
jącej się gałązce i zaczął kwilić. Początkowo nie wiedziałem, o co mu chodzi, ale ta niepewność rozwiązała się po chwili, bo przyleciał drugi ptaszek i przycupnął tuż obok. Teraz kwiliły razem, ale już ciszej i chyba czulej. Potem przybliżyli się do siebie i całowali się dziobkami. Czy to była już zażyła para, czy dopiero się poznali? Czy byli odmiennej płci, czy bardziej na czasie, tej samej? Czy były to pocałunki kochanków, czy zwykłe igraszki? A może było to jakieś zajęcie o określonym, nie romantycznym celu?

Przypomniałem sobie podobny obrazek z dzieciństwa. Leżałem na hamaku w lesie i patrzyłem na odlatujące żurawie, leciały równym szykiem. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, jak daleka czeka ich droga, jakim cudem przyrody przebędą tysiące kilometrów i nie zabłądzą. Ale już wtedy byłem zauroczony tak, jak dzisiaj, po tylu latach.

Nagle dwa ptaszki zerwały się z gałęzi i odleciały w popłochu. Dopiero po chwili ujrzałem przyczynę niespodziewanej ewakuacji; po konarze drzewa biegła w górę wiewiórka. Przetrzyła sobie to samo miejsce, gdzie przed chwilą gruchali skrzydłaci kochankowie i siadając na tylnych łapkach, zaczęła obgryzać orzeszek. Nie wiem czy znane Ci jest Mistrz porzekadło, że taki widok przynosi lata szczęścia? Nie wiedziałeś o tym? Nie dziwię się, bo to ja wymyśliłem. Powtarzaj to innym, aż się stanie przysłowiem ludowym. Ktoś to musi zacząć, w ten sposób za sto lat będzie starą tradycją. A swoją drogą, czy jesteś w stanie wyobrazić sobie świat za sto lat? A za pięćset? Pomyśl, kto w szesnastym wieku mógł sobie wyobrazić komputer, telewizor, rozmowę komórkową z cicią na drugim końcu świata albo człowieka na księżycu? A ten postęp ciągle przyspiesza. Już tylko myśląc o tym dostaję zawrotu głowy.

Wiewiórka przestała chrupać i siadła nieruchomo wpijając we mnie wzrok, przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Czulem, że ta dwa małe oczka mają jakąś niezwykłą moc, jakby chciały mnie zahipnotyzować. Stopniowo oplotła mnie leniwa mgiełka pogrążając w błogim śnie.

Ruszam w podróż. Łódka cicho przecina falującą toń, pozostawiając za sobą długi ślad. Wiosło, niczym wiatrak kręci się miarowo, popychając łódź do przodu ku nieznaney ziemi. W każdym ruchu czuję napięte mięśnie posłuszne mojej woli. Na ramionach kropelki wody zasychają plamkami soli. Ogarnia mnie osobliwe uczucie, staje się cząstką harmonijnej całości, w niej: łaciate niebo, morze, daleki łąd i ja. Cóż za wspaniały kwartet! Lecz nie wolno mi



zagrać fałszywego tonu, każda nuta musi zabrzmieć czysto i prawdziwie. Oddaję się muzyce, gram i nasłuchuję.

Wietrze, nie wiesz, bo mnie nie powstrzymasz! Falo, nie uderzaj, bo budzisz mój śmiech! Ziemi, nie uciekaj, bo i tak cię doścignę! I gna moja łódka do nieznanego lądu, aż niknie dzieląca nas przestrzeń, a upragniona ziemia stanie się rzeczywistością.

Z dala, otwarta jama grotu kusi nieznanym. Fala głośno uderza o wielkie głazy, odbija się i powracając napotyka następną. Tak się zmagają, stają dęba i ostatecznie obie ulegają trzeciej, silniejszej fali. Cała zatoczka pokryta jest lasem wichrowatych grzyw z białymi czapami piany. Za nimi fascynująca czeluść grotu. W górę, w dół, w lewo, w prawo, woda przelewa się przez burtę. Bez reszty oddaję się zabawie w pozostanie na powierzchni. Jeszcze ta wzburzona paszcza i już jest chłodno i głośno od fal. Blisko ścian jest niebezpiecznie, można się roztrzaskać, więc trzymam się środka.

Dopiero dalej dobijam do brzegu, wychodzę z łódki. Pod stopami ostre kamienie. Siadam i słucham. Słucham i patrzę; na rozhukane fale, wiekowe kamienie, na szumiącą pianę i grotową aulę, w której mieszka Neptun i jego świta. Kląnam się unizienie prosząc o bezpieczną drogę do domu. Król każe podejść bliżej i łagodnym gestem okazuje znak aprobaty. Przelykając ślinę pokornie pochylam głowę dziękując za łaskę władcy. Audiencja skończona, mogę odpłynąć. Droga bezpieczna.

Ostrożnie wypływam z grotu na otwarte morze, łódka sunie posłuszna mojemu wio-

śłu. Wsłuchuję się w dźwięki ulubionego kwartetu i choć są piękne, pragnę więcej, chciałbym usłyszeć tony jeszcze czystsze, bardziej subtelne, aby ich harmonii nie zakłócały najmniejsze szmery. Pozostawiam łódkę na przystani, by resztę drogi przepłynąć w pływ.

Jest wszystko: dłonie prujące fale, wolność, siła, upojenie i krystaliczny błękit. Wtedy wiem, że żyję, że nic nie stanie na przeszkodzie, nic się nie przemknie pomiędzy palcami, które uchwycą bajeczną toń. Staję się częścią wielkiego, milczącego świata. Czuje każde muśnięcie fali. Dostrzegam najsłabsze odcienie błękitu. Słyszę każdy plusk, nawet ryby nie uciekają, akceptując mnie w swoim świetle. Jestem królem, panem i władcą. Nikt tu niczego nie kwestionuje i nie wymaga, nic nie jest w stanie mnie zawieść, ani ja nikogo. Jest to ta jedna z chwil, w której czuję się u szczytu. Jeśli nie zakłócę ciszy, nie zrobi tego nikt.

Kiedy już myślałem, że osiągnąłem apogeum ludzkiego doznania, los zgotował jeszcze wspanialszą ucztę. Bo oto słońce chyli się ku zachodowi i zawisa nad horyzontem ogromną, złocistą kulą, pulsującą czerwienią i pomarańczą. I płynę prosto w tę gorejącą tarczę już nie po wodzie, lecz po migającym kalejdoskopie barw. Pod powierzchnią błękitny i szafirowy z źródlanej przejrzystości, a kiedy oczy wynurzają się nad wodę, promienie słońca mieniają się tysiącem pulsujących błyskotek, wyznaczając złocisty szlak. Nie wiem, jak długo trwa ta czarodziejska podróż. Nie ma tu czasu ani przestrzeni. Odnoszę wrażenie, że się przybliżam, wydaje mi się, że za chwilę, ot tuż,

tuż, wyciągnę dłoń i dotknę złocistą kulę. Oczarowany chwilą, nie oglądam się za siebie, nie wiem gdzie ląd i szarość...

Nagle niebo przeszywa złowrogi błysk, pojawiają się czarne chmury i chłodny wiatr. Unoszą się fale, znika szafirowy błękit, odlatują białe mewy. Po odmienionej scenarii wielkiego amfiteatru z hukiem przewalają się groźne odgłosy piorunów. Spadają pierwsze krople, pac, pac – mokre, duże, rzęsiste. Głośny huk. Uderzyło tuż obok. Deszcz rozgaszczają na dobre. Teraz już nie ma odwrotu, nie ma nadziei na słońce. Całe niebo, od horyzontu do horyzontu, jest czarne. Krople stają się szybsze i częstsze. Szara woda pokrywa się ostrym jeżem deszczu.

Płynę na złość Neptunowi, w fale, w deszcz, który nie moczy, zimno, które nie chłodzi, burza, która cieszy. O rozkoszne fale, z jakim uwielbieniem rzucam się w waszą mroczną toń! O wielkie, rozhukane morze, bez ludzi, bez łodzi, bez krzyku! Nurkujesz, igrasz ze spienionymi bałwanami. Patrzysz na szary kolor, który jest piękny. Woda zdaje się przelatywać przez całe ciało; uszami, nosem, oczyma. Staję się jej częścią. Niech grzmi, niech huczy, niechaj się pieni. Do przodu, raz – oddech, dwa – oddech, rytmicznie, niewzruszenie, nonszalancko, górą, dołem, do przodu, wbrew wszystkiemu, na przekór żywiołom, poprzez życie.

Życie!

MELBOURNE, 24 LUTEGO 2023

¹Listy do poety: youtube sokoły 22

Warszawska premiera musicalu „Irena” o Irenie Sendlerowej

Czy o niełatwej, polskiej historii można opowiadać za pomocą piosenek? Czy Irena Sendlerowa była bohaterką dla wszystkich? Co wspólnego z historią Sprawiedliwej wśród Narodów Świata mają laureaci Grammy? Odpowiedzi na te pytania otrzymają widzowie spektaklu IRENA. Warszawska premiera polsko-amerykańskiej produkcji odbędzie się 25 marca w Teatrze Polskim im. Arnolda Szyfmana. Wezmą w niej udział: kompozytor muzyki do spektaklu i jedyny polski laureat nagrody Grammy Włodek Pawlik, reżyser Brian Kite oraz Elżbieta Ficowska – najmłodsze dziecko uratowane przez Irenę Sendlerową z warszawskiego getta.

Po ogromnym sukcesie frekwencyjnym w poznańskim Teatrze Muzycznym i wielu przychylnych recenzjach, musical IRENA pokazany zostanie w warszawskim Teatrze Polskim. Zaplanowano łącznie trzy spektakle – 25 marca o godz. 19:00 oraz 26 marca o godz. 14:00 i 17:00.

– Pozytywny odbiór krytyków i widzów, z jakim spektakl IRENA spotkał się w Poznaniu, sprawił, że chcieliśmy pokazać go także warszawskiej publiczności. Zwłaszcza, że opowiada o wydarzeniach, które są częścią niełatwych losów Warszawy i Polski. Wierzymy też, że forma, jaką jest musical, sprawia, że ta historia jest bardziej przystępna i zrozumiała dla wszystkich. Bo choć stawia trudne pytania i zmusza widzów do refleksji, to dostają oni także piękne, doskonale zaaranżowane i wspaniale wykonane piosenki. Zespół, który pracował nad spektaklem włożył w niego ogromną pracę i wysiłek, dlatego jesteśmy dumni, że możemy pokazać go widzom w Warszawie – mówi Przemysław Kieliszewski, dyrektor Teatru Muzycznego w Poznaniu.

– Duża część tej opowieści rozgrywa się w głowie, w pamięci Ireny Sendlerowej i dzieci, które uratowała. Muzyka pomaga nam się tam dostać. Przedstawiając te wydarzenia w formie musicalu, nie tylko opowiadamy historię znaną ze szkolnych lekcji czy książek, ale wnikamy w myśli Ireny i pokazujemy jej emocje, a także dajemy je odczuć naszej publiczności – mówi reżyser spektaklu Brian Kite, Dziekan Wydziału Teatru, Filmu i Telewizji UCLA.

Autorzy libretta – Mary Skinner i Piotr Piwowarczyk – poznali Irenę Sendlerową, tworząc o niej film dokumentalny „In The Name Of Their Mothers” (tłum.: W imię ich matek). Sama bohaterka zmarła przed jego premierą, film jednak zobaczyło ponad 7

milionów ludzi na całym świecie. Wówczas zrodził się pomysł na musical, który pierwotnie miał trafić na Broadway, by dotrzeć z historią do jeszcze szerszej publiczności. Pandemia pokrzyżowała jednak te plany.

Piosenki do IRENY napisał Mark Campbell, nowojorski librecista i autor tekstów, którego opery otrzymały zarówno Nagrodę Pulitzera w dziedzinie muzyki, jak i nagrodę Grammy; muzykę skomponował Włodek Pawlik, jedyny polski laureat Grammy w kategorii jazzu. To on zainteresował tematem musicalu o Irenie Sendlerowej dyrektora Teatru Muzycznego w Poznaniu.

sicalu jako o gatunku, którego geneza tkwi w konwencji operetki czy burleski. Jestem jednocześnie przekonany, że dzisiejszy świat potrzebuje dzieł sztuki odpowiadających na wyzwania naszej skomplikowanej współczesnej rzeczywistości. Ale jestem dumny również z tego, że dramat muzyczny IRENA wpisuje się w nurt twórczości mówiącej o sprawach fundamentalnych, poruszając najbardziej osobiste struny ludzkiej wrażliwości na krzywdę i cierpienie. Wydaje mi się, że mogę powiedzieć w imieniu wszystkich twórców IRENY, że jesteśmy w jakimś sensie duchowymi spadkobier-



– Na poznańskich spektaklach publiczność reagowała niezwykle emocjonalnie, były wzruszenia i owacje na stojąco. Widzowie przeżywali to, co działo się na scenie, bo poruszyła ich nie tylko muzyka, ale też wizja reżysera, choreografia, scenografia i znakomici wykonawcy Teatru Muzycznego w Poznaniu. Te entuzjastyczne reakcje publiczności są dla mnie najlepszą recenzją i dowodem na to, że warto było włożyć tyle pasji i wysiłku w przygotowanie tego jakże unikalnego pod każdym względem artystycznego przedsięwzięcia – tak aktualnego dzisiaj w swojej wymowie w kontekście wojny na Ukrainie. Pracując nad tym materiałem, postanowiłem wykorzystać różnorodny arsenał współczesnych środków w uwadze pokorę wobec niesamowitej, heroicznej historii życia Ireny Sendlerowej, zapisanej w scenariuszu musicalu. Nasza muzyczna opowieść o dramatycznych losach bohaterki wykracza w moim odczuciu daleko poza schematyzm myślenia o mu-

camii dziedzictwa Ireny Sendlerowej które zawarła w słowach: „Ludzi należy dzielić na dobrych i złych. Rasa, pochodzenie, religia, wykształcenie, majątek – nie mają żadnego znaczenia. Tylko to, jakim kto jest człowiekiem” – wyjaśnia Włodek Pawlik.

Za choreografię odpowiada Dana Solimando, która ma na swoim koncie wiele znakomitych broadwayowskich produkcji.

Gdy rozpętało się piekło II wojny światowej, Irena Sendlerowa działała na rzecz najsłabszych, pielęgnując wartości, które przekazał jej ojciec. Wiedziała, że nie może pozostać bezczynną, że musi działać, niosąc pomoc dzieciom w getcie. Organizowała im fałszywe metryki, dbała o stałą pomoc materialną i lekarską, umieszczała je u zaufanych polskich rodzin, w klasztorach i zakładach opiekuńczych. Wraz z grupą innych łączniczek i osób zaangażowanych w pomoc umożliwiła ucieczkę z getta kilkuset dzieciom. Została za to uhonorowana tytułem Sprawiedliwej wśród Narodów Świata.

Termin warszawskiej premiery nie został wybrany przypadkowo. Dzień wcześniej obchodzony jest Narodowy Dzień Pamięci Polaków ratujących Żydów pod okupacją niemiecką. W tym roku również przypada 80. rocznica Powstania w getcie warszawskim.

Na deskach Teatru Polskiego w Warszawie w głównej roli zobaczymy Oksanę Hamerską. U boku Ireny Sendlerowej pojawia się przyjaciółki: Magda (Urszula Laudańska) i Jaga (Katarzyna Tapek). Wśród bohaterów wzorowanych na autentycznych postaciach są też **Jan Dobraczyński** – szef Ireny i Jagi (Łukasz Brzeziński), a także Janusz Korczak (Przemysław Łukaszewicz). W dramacie muzycznym jedną z ważniejszych ról odegra młoda Żydówka, Pani

Grinberg (Anna Lasota), matka siedmioletniego Icka (Piotr Hamerski). W roli narzeczonego Ireny – Adama – zobaczymy Radosława Elisa, a szmalcownika Jurka – Bartosza Soltysiaka.

Bilety dostępne są na stronie: <https://www.bilety24.pl/teatr/29-irena-warszawska-premiera-85857>

Teatr Muzyczny – informacje

Teatr Muzyczny powstał w 1956 r. i od tego czasu nie przestaje się rozwijać i wyznaczać nowych kierunków. Widzowie mogą liczyć na różnorodny repertuar, w którym znaleźć można klasyki, takie jak: „Piękna i Bestia”, „Rodzina Addamsów”,

„Zakonnica w przebraniu” czy „Evita”. Teatr nie boi się łamać schematów i gra autorskie spektakle, np. „Virtuoso” – musical o życiu Ignacego Jana Paderewskiego, „Kombinat” – futurystyczna opowieść z muzyką Republiki i Obywatela G.C. w tle czy właśnie „Irena” o Sendlerowej.

Kolejnym ważnym krokiem w rozwoju teatru będzie budowa nowej siedziby, która ma ruszyć jeszcze w 2023 roku. Największy i najnowocześniejszy Teatr Muzyczny w Polsce stanie w samym sercu Poznania. Otwarcie planowane jest na 2026 rok. ■

Więcej o Teatrze Muzycznym:

<https://teatr-muzyczny.pl/>

Zimna woda

*Zaryzykuj wyjście ze strefy komfortu,
a zdasz sobie sprawę,
że nagroda była tego warta.*

Albert Einstein

ALICJA GRYGIERCZYK

Życie prowadzi nas i pokazuje rozwiązania, ale widzimy to dopiero po pewnym czasie. Jednak już samo to, że po drodze zaczynamy zwracać uwagę na coś, nad czym ktoś inny przeszedł obojętnie, jest sygnałem, że ta droga jest dla nas, że jest właściwa.

Dziesięć lat temu. Przeglądam miejscową gazetę. Zatrzymuję się przy tytule: „Wim Hof. The Ice man”. Czytam, jak po samobójczej śmierci jego ukochanej żony, został sam z czwórką małych dzieci. Wim: „Wicie co mnie wtedy uratowało? Zimna woda. Zamiast poddać się bolesnym wspomnieniom, tkwić w nich i w rozpacz, dać się zawładnąć stresowi oddałem się wodzie. Ona zaprowadziła mnie do ciszy. A przede wszystkim, do totalnej ciszy umysłu. Kiedy wchodzisz do lodowatej wody, znika bagaż emocjonalny, zostaje całkowicie wyłączone myślenie. Jedyne co się wydarza, to walka organizmu o przetrwanie”.

Patrzę z zainteresowaniem na mężczyznę w średnim wieku, siedzącego w beczce wypełnionej po szyję wodą z kostkami lodu. Czytam tekst pod zdjęciem i czuję jak budzi się moje ciało i daje mi sygnał, że to też jest dla mnie. Umysł jednak odradza, wynajduje przeszkody: jesteś za stara, w twoim wieku to szaleństwo, to jest niebezpieczne. Kapituluję. Odkładam gazetę i idę sprzątać mieszkanie.

„Rutyna jest jak rdza” mijam po drodze aforyzm, który wisi już parę lat na mojej lodowce. Życie toczy się dalej, ale co jakiś czas dociera do mnie wzmianka o Wimie.



W radiu, w telewizji pojawiają się wywiady z nim, a na face booku krótkie filmy o opracowanej przez niego metodzie oddechowej. Zostawiam wtedy wszystko i zamieniam się w słuch.

Któregoś dnia dzwoni do mnie Anka, moja przyjaciółka z Sopotu. Ma ona rzadko spotykany dar obrazowego opowiadania tego, czego doświadcza. Tym razem doświadcza... morsowania!

Z zapiętym tchem słucham jej opowieści o zimnych morskich falach, o tym ile energii w niej wyzwalają, jaką radość dają i czuję, że już pora na mnie.

Zima, śnieg dookoła jeziora w Horst. Woda lodowata. Coś podpowiada mi że muszę to zrobić szybko. Wskakuję więc

do wody i zanurzam się po szyję. Doznaję szoku. Zaczynam oddychać gwałtownie i tak głęboko, że boję się, że moje płuca nie pomieszczą aż tyle powietrza. Serce bije jak szalone, kłuje mnie ta lodowata woda. Mam wrażenie, jakby setki igieł wbijało się w moją skórę.

I nagle to wszystko się uspokaja, robi mi się coraz cieplej i tym momencie doświadczam tego, o czym mówił Wim: całkowitego wyłączenia się umysłu. Nie ma mnie. Jest tylko jezioro, śnieg, lekki wietrzyk i dzikie gęsi.

Od tej pory, już cały rok, wczesnym rankiem wskakuję do zimnej wody w jeziorze. Zostaję w niej coraz dłużej i coraz goręcej się z nią zaprzyjaźniam. W zamian dostaję życiodajną energię. ■

Job interview. Powrót.



ANDRE SKIBNIEWSKI

Niniejszy cykl wspomnień dotyczy okresu, w którym powstała nasza Scena Polska w Holandii/ Stichting Pools Podium. Historie opisane są prawdziwe – czasami jedynie zmieniałem imiona osób w nich występujących. Lubię zagłębiać się we wspomnieniach... Świat, który wtedy nas otaczał odszedł już bezpowrotnie w zapomnienie, chociaż niektóre sytuacje na pewno mogą się powtórzyć. W poprzednich numerach ukazały się dwa felietony, których tytuł zaczynał się od „Job interview...” Niniejszy artykuł jest ich kontynuacją.

Prawie pusty pociąg odjechał punktualnie. W całym wagonie oprócz mnie była para wybierających się do Kopenhagi studentów. Wyszli w Hamburgu.

Zostałem sam. Dwie ciężkie walizki wraz z przywiązanim do jednej z nich wózkiem umieściłem na półce nad głową. Co za luksus... Cały pociąg dla mnie.

Próbuję zasnąć – bezskutecznie. Myślę o sytuacji w Polsce, której zupełnie nie rozumiem. Co w domu? U znajomych? Przyjaciół? Czy są jakieś walki, barykady, leje się krew?

Wyjeżdżam właśnie z raju, który odwiedziłem. Mam pracę. Mogę sobie wszystko poukładać, pieniędzy mnóstwo. W jakiej to było walucie? W dolarach? W guldenach?

Mniejsza z tym, w jakiej walucie wymienniejsza. Nigdy tyle pieniędzy nie widziałem. Na pewno wystarczyłoby na dostatnie życie – takie, jakie ma na przykład Dries, Harald czy Franz. Są bardzo mili, uprzejmi, wyluzowani. Mieszkają w pięknych domach, z ogrodem. W każdym z nich jest otwarta kuchnia i kolorowy telewizor, nawet kilka. W garażach trzymają rowery i lodówki a samochody stoją przed domem. Nikt ich nie kradnie i nie rysuje gwoździem.

Gdybym jednak nie wrócił do Polski, wszyscy będą w kłopotach. Na pewno zostaną wezwani na milicję. Będą przesłuchania. Uciekłem. Zawiodłem zaufanie rodziny, w pracy, w domu, w harcerstwie. Zamiast pracować

dla naszego kraju, za judaszowe srebrniki sprzedałem się Zachodowi. Holandia jest chyba w NATO? Moja siostra jest nauczycielką. Pewnie zostanie usunięta, bo przecież nie może wychowywać młodzieży osoba, której morale można zakwestionować. Jej brat nie wrócił, „wybrał wolność”. Tato też będzie miał kłopoty. Wprawdzie przestał płacić składki i oddał legitymację PZPR, ale to już drugi członek z jego najbliższej rodziny który odważył się na taki krok i „związał na Zachód”.

W harcerstwie zostaną uznani za czarną owcę, gwarantowane. Pamiętam rozczarowanie i komentarze po głośnej sprawie s/y „Konstanty Maciejewicz.” Zastanawialiśmy się wszyscy: dlaczego ten Żydler uciekł? Zwiąć przed zakończeniem rejsu, przed oficjalnym powitaniem? Bezgraniczna głupota. Nawet nasze Ministerstwo Żeglugi ich promowało. Wróciliby w chwale, a na pewno sam Edward Gierek wręczyłby im osobiście odznaczenia państwowe. Później, w następnym roku dostaliby paszporty i każdy mógłby spokojnie sobie uciec. Przez Jugosławię, na przykład. Tomek wszystko zepsuł.

A co się stanie, jak do Polski wejdą Rosjanie? Właściwie już to zrobili, zgadza się. Ale na ulice nie wyszli, siedzą w koszarach. Jak długo? Kiedy wyjdą, krew się na pewno poleje. Murowane. A jakby wkroczyli Niemcy? Ci z NRD, oczywiście. Muszą tylko przejechać przez granicę, wyłamać szlabany, jak to widzieliśmy na filmach. Już to kiedyś zrobili. Chociaż tym razem sami im otworzymy, w ramach współpracy. Będzie gorąco. Mama ma uczulenie na język niemiecki.

Czesi też wejdą, ale to najmniejszy problem. Dojdziemy jakoś do porozumienia – w końcu nasze chłopaki też do nich poszły w 1968 roku. I co? Po czasie wszystko wróciło do normy, nawet zaopatrzenie u nich lepsze, kawa jest, dobre piwo i prażony syr. Różniemją po polsku, a my ich też. Fajne piosenki śpiewają – takie trochę marszowe, ale je bardzo lubimy. W Opolu dobrze jest słyszeć czeskie stacje. Bardzo fajny big beat. Helena Vondráčková jest doskonała, śpiewała po polsku. A Karel Gott? Mieszkał kiedyś w Niemczech, ale ze względu na rodziców wrócił do swojej ojczyzny. Tak mówią.

Kiedy zacznie się rozróżba, stworzymy Szare Szeregi. Dookoła sami przyjaciele, mam zaufanie. Można z nimi konie kraść. Wszyscy trochę konspirują.

Pamiętam, że podczas wędrówek po górach i w lesie, raz nawet w wielkiej tajemnicy odprawialiśmy Mszę Świętą. Całkiem nieoczekiwanie, tak z cicha pęk. Wracamy z rajdu. Trochę ciężko – po nocy przy ognisku, śpiewach do białego rana, „Kadarce” i „Ciosan” myślę o tym, żeby gdzieś usiąść i się

zdrzemnąć. Ale idziemy zwartą grupą. Nagle słychać jakiś głos z przodu:

– To tutaj... Powiedz wszystkim, że skręcamy do lasu.

Przedzieramy się przez gęsty las.

Całą grupą? Przecież przed kwadransem sikaliśmy. Dziewczyny idą za nami?

Zatrzymujemy się na małej polanie. Ustawiamy się w koło. Jeden z wycieczkowiczów zdejmuje plecak, zakłada biały ornat i wyszywaną złotymi nićmi stulę.

– W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego...

– Amen.

Odpowiadają głośno klubowicze.

Jest niedziela, czas na mszę połową. Kilka osób przystępuje na kolanach do Komunii Świętej. Większość jednak jest całkowicie zaskoczona, nie przystąpiła do spowiedzi, a po niespokojnej nocy w chatce na Pietraszonce wypadałoby oczyścić się z grzechów. Stoją pod lasem w milczeniu. Grywam na gitarze, ale niestety, ku zaskoczeniu obecnych, żadnej pieśni religijnej nie znam.

Naśladuję grę kolegów – trzy chwyt, proste.

– ... Bogu niech będą dzięki!

Koniec. Wracamy na drogę. Idziemy do przystanku, głód doskwiera już poważnie.

Kurczę, może będą teraz jakieś problemy? Organizacja studencka odprawia obrzędy religijne? Co będzie, jak ktoś doniesie władzom uczelni?

Na pewno Podstawowa Organizacja Partyjna będzie musiała zająć stanowisko. Kto był przewodnikiem? Niektóre koleżanki wyglądały na bardzo rozmodlone.

W każdym razie towarzystwo Akademickiego Klubu Turystycznego „Watra” na pewno będzie konspirować. Obce wojska przegoniemy na cztery wiatry. W Opolu także. Widzę to wyraźnie. Z harcerzami schodzimy do podziemia, a moja mama z kilkuletnim doświadczeniem w lwowskiej, akowskiej konspiracji udziela nam cennych wskazówek. Będą też zabici i ranni. Murowane. Ja już jestem ranny, ale bólu nie czuję. Otwieram z trudem oczy i patrzę w sufit. Krew sączy się przez białoczerwoną opaskę. Mama płacze...

– Synciu...

Podchodzi do mnie rudowłosa sanitariuszka. Yvonne? Holenderka tutaj? Pochyla się, głaszcząc mnie delikatnie po głowie szuka wargami moich spieczonych gorączką ust. Przegoniliśmy ruskich z Opolą, Turawa jeszcze się broni, ale na pewno atak z jeziora się powiedzie. Basia dowodzi drużyną, Marysia w sztabie wydaje krótkie rozkazy chłopakom.

– Widzisz ten komin?

– Widzę.

– To płyn na niego. Tam są ruskie...

Płyniemy. Wszystko rozumiem.

Rudowłosej pielęgniarce spadł czeppek z czarnym paskiem i czerwonym krzyżem na środku. Pozbawiona nakrycia głowy, jakby ośmielona odsłania swe smukłe, opalone ramiona i mówi szeptem:

– Kochaj mnie, mój aniele...

Odsłania swoje ciało, jędrne opalone zapewne turawskim słońcem na miodowy brąz Odsłania prześcieradło. Morowe panny, te sanitariuszki... Rannym buziaka dają, ale żeby aż tak? Wstydl! Przy mojej mamie?

– Synciu...

Słyszę jej głos.

– Synciu...

– Guten Abend. Ausweis, bitte...

Tato?

Wyrwałem się z głębokich rozmyślań. Musiałem się zdrzemnąć. Dojeżdżamy już do Berlina Zachodniego. Umieszczona na dachu wieżowca, stale obracająca się gwiazda firmy Mercedes Benz świadczy o wolności i zamożności mieszkańców tej części miasta. Przejżdżamy przez mur... Zaraz też przedział zapelnia się polskimi robotnikami. Pracują w jakiejś polskiej firmie i licząc na rychłe rozwiązanie problemów wynikających z tak zwanego „Martial Law” jadą do domu na Święta. Jeden kupił pod choinkę wielkie radio tranzystorowe marki „Toshiba”. Zakupy mieli w plastikowych reklamówkach i szarych workach na śmieci. Wszystko spoczęło na moich walizkach, aż po sufit wagonu. Byłe do Polski...

Po wyjeździe z Berlina Zachodniego ogrzewanie przestało działać. Zaczęłem żałować, że w letnich trzewiczkach wybrałem się w zagraniczną podróż, ale były to moje jedyne buty. Początek grudnia tego roku był przecież bardzo łagodny... Nie spodziewałem się także, że będę musiał w nich wędrować dalej niż z lotniska do pociągu lub taksówki. No cóż, za późno było żałować rozlanego mleka. Nieogrzewany już od Wschodniego Berlina pociąg zatrzymał się na granicy. Wsiadli żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza i celnicy.

Obok pieczętki „ważny na wszystkie kraje Europy” dostałem nowy wpis. Duży, czerwony napis w ramce głosił ANULOWANO.

– to pana walizka?

Zapytał celnik.

– moja.

Odpowiedziałem.

– a ta?

– też moja...

– pan otworzy...

– a to radio to czyje?

– moje...

Odpowiedział współpasażer.

– pan pokaże... Trzeba będzie zapłacić cło.

Ma pan pieniądze?

– przy sobie nie mam... Wydałem na podróż.

W przedziale zrobiło się duże zamieszanie. Otwieranie walizek, tłumaczenia co jest czyje, skąd się wzięło i skąd były na to pieniądze. Część pomarańcz rozdałem celni-



kom i współpasażerom. Jednemu z nich pożyczylem dwa tysiące złotych na cło za jego radio. Jakoś chęci do nawiązania kontaktu już nie było i tym samym pożyczka zmieniła się w darowiznę.

Dojechaliśmy do Poznania. Na peronach było tylko kilkoro pasażerów. Tym bardziej widoczne były patrole milicji, wojska i Służby Ochrony Kolei. Przeciwwagą dla wszechobecnych służb mundurowych był palący się w żelaznych koszach koks. Ktoś troszczył się o nielicznych pasażerów i pilnujących porządku. Kosze dostarczały ciepło, tworząc namiastkę harcerekich ognisk. W dworcowym kiosku kupiłem dwie pyszne bułki z posolonym smalcem a w jedynej otwartej kasie kupiłem bilet na popołudniowy pociąg do Wrocławia.

W opuszczonym barze wrocławskiego dworca przysiadłem się ze szklanką herbaty – tym razem bez cukru – do stolika, przy którym siedział samotnie starszy pan.

– Przepraszam czy mogę o coś zapytać?

Pan popatrzył na mnie i na mój bagaż z zaciekawieniem.

– Przyjechałem dzisiaj z zagranicy, jadę do Opol. Chyba przyjadę już po godzinie polic... milicyjnej. Co powinienem zrobić?

Pan spoważniał. Wstał i powiedział:

– najlepiej nastaw się pan na palowanie...

Spojrzał na zegarek.

– Muszę już iść... Powodzenia!

Założył ciepłą czapkę, pokiwał głową i wyszedł z baru.

Po północy, w wigilijny już dzień przyjechałem do Opol. W pociągu byłem sam. Dworzec był pusty – ani żywej duszy. Przed nim nie było żadnych samochodów ani autobusów. Na ulicach ciemno, stopień zasilania zmniejszono zapewne do niezbędnego minimum albo większość żarówek nie wytrzymała niskich temperatur. W głębokim śniegu, stelaż z kółkami pod walizkę rozpadł się tuż przed głównym wejściem do dworca. Opanowałem technikę przenoszenia bagażu „step by step”. Jak najdalej trzeba było przenieść jedną walizkę, postawić ją na śniegu (różnicy między ulicą i chodnikiem nie było), odpocząć trochę i wrócić po drugą. Czynność tę trzeba było powtórzyć wielokrotnie. Na dostawionych dwóch walizkach siadałem, odpoczywałem i rozgrzewałem dłońmi przemarznięte stopy. Po dwóch godzinach dotarłem do dużego placu zwanego wtedy Placem Czerwonej Armii. Tam, co roku, ustawieni w grupy – uczniów, harcerzy, studentów czy przedstawicieli tak zwanego „ludu pracującego miast i wsi” słuchaliśmy wielogodzinnych przemówień skierowanych do Narodu przez nasze Władze. Później rozchodziliśmy się na chód. Na rogu ulicy dochodzącej do placu zobaczyłem z daleka milicyjny samochód marki „Nysa”. Nastawiony na palowanie, zostawiłem walizki i z siatką pomarańcz podszedłem do milicjantów. Powiedzieli, że przecież widzę, że jest teraz akcja i żeby nie przeszkadzał. Mogłem zatem iść dalej. Pomarańcze wzięli, a jakże.

Po pół godzinie ponownego przedstawiania walizek podjechała do mnie inna „Nysa”, tym razem Wojskowej Służby Wewnętrznej. Zbliżyła się już czwarta nad ranem. Żołnierze w trochę za dużych hełmach rozwozili do wojskowych posterunków gorący jeszcze, bajecznie pachnący chleb. Zapytali, gdzie idę. Podwieźli mnie pod dom, w którym mieszkali moi rodzice.

Wymieniłem siatkę mandarynek na bochenek chleba. Pożegnaliśmy się tradycyjnym „Wesołych Świąt” i podźwigałem walizki przed dom.

Zadzwoiłem do drzwi. Raz, drugi, trzeci... Nikt nie otwiera. Światła pogaszone, chyba nikogo nie ma. Żołnierze przed domem czekają cierpliwie na dalszy rozwój wypadków.

Cdn.

Z okazji zbliżających się Świąt Wielkanocnych życzę Redakcji oraz wszystkim Czytelnikom i Sympatykom Pools Podium – Sceny Polskiej w Holandii ZDROWIA, radości, pogody oraz optymizmu spotęgowanego budzącym się do życia światem przyrody.
Vrolijk Pasen!

Żegnaj Jolu!



ANNA FRANÇOIS-KOS

Poznałam ją w roku 1980. Po krótko trwającym, nieudanym małżeństwie z kolegą ze studiów, wróciła właśnie z Hiszpani do Belgii. Spotkałyśmy się podczas weekendu organizowanego przez Polską Sekcję Chrześcijańskich Związków Zawodowych. Zaczynałam współpracę z pismem „Praca” wydawanym w języku polskim przez związki zawodowe. Jola włączyła się do naszej działalności. Byłyśmy w tym samym wieku, więc szybko znajomość ta przekształciła się w długoletnią przyjaźń.

Yolande Kurzajewski urodziła się 28 października 1953 roku w Belgii, w Leut. Rodzice jej byli polskimi emigrantami. Mama, Feliksa Wawrzyk (1926-2020), pochodziła z Grotnik k/Zgierza. Nazywaliśmy ją „Fellą” – pamiętam z jak ogromną gościnnością przyjmowała nas, wszystkich przyjaciół Joli w domu w Maasmechelen. Ojciec, Józef Kurzajewski (2021-1986) był zasłużonym polonijnym działaczem kulturalnym i społecznym. Był współzałożycielem i kierownikiem Koła Teatralnego „Iskra”, w którym często grywał główne role aktorskie. To dzięki ojcu i pod jego kierunkiem rozpoczęła działalność społeczno-kulturalną.

Studia językowe ukończyła na Uniwersytecie Katolickim w Leuven.

Wspólnie, wraz z nieżyjącymi już: Kasią Rosińską (żona rysownika „Thorgala”) i Jurkiem Kępą (artysta – malarz, dziekan ASP w Genku) organizowałyśmy pierwsze spotkanie polskich intelektualistów, ludzi świata sztuki, nauki i kultury, które odbyło się w 1987 roku, w moim ogrodzie w Grez-Doiceau (Cocrou). Obecne na nim było całe (młode, debiutujące wówczas – dziś są to wybitne osobistości) pokolenie wybitnych polskich artystów mieszkających w Belgii. Wziął w tym spotkaniu także udział Krzysztof Penderecki z żoną.

Była korespondentką kwartalnika polonijnego „Nasz Głos”, potem współpracowała z miesięcznikiem „Pol Echo”.

Miała wyjątkowy talent językowy. Perfekcyjnie posługiwała się pięcioma językami: francuskim, niderlandzkim, polskim, angielskim i hiszpańskim. Przez kilkanaście lat była osobistą sekretarką Gerarda Mortier, dyrektora opery brukselskiej Théâtre de la Monnaie. To za jej czasów w operze śpiewali liczni polscy śpiewacy operowi, tacy jak Barbara Mądra, Elżbieta Ardam, Elżbieta Szmydka, Aga Wińska, Joanna Kozłowska, Marcin Bednarek, Marek Torzewski.

Ja dzięki niej miałam bezpłatne bilety na liczne premiery operowe. Z łezką w oku wspominam, jak zabrała mojego kilkunastoletniego wówczas syna do Opery. Zaprosiła go, ale mnie kazała kupić mu pierwszy garnitur! „Do Opery chodzi się w eleganckim ubraniu” – mówiła stanowczo.

Wielokrotnie zapraszała mnie na wakacyjne wyjazdy do przeuroczej miejscowości w pobliżu Potiers (Nowa Akwitania), gdzie odziedziczyła po cici niewielki, typowo francuski domek, wokół którego rosły przepiękne polskie malwy. To dzięki niej odkryłam Dom Spokojnej Starości Polskiego Funduszu Humanitarnego w Lailly en Val, gdzie przebywała jeszcze inna jej ciocia. Zatrzymywałyśmy się tam zawsze w drodze powrotnej do Belgii. Otwarty w 1950 r. był miejscem schronienia dla inwalidów wojennych, byłych komatantów i polskich uchodźców politycznych. Dyrektorem domu był wówczas słynny dr Przemysław Górecki, były żołnierz AK i komendant Szarych Szeregów w powstaniu warszawskim.

Studia medyczne ukończył w Belgii, przez lata pracował w belgijskim Kongo. W Lailly en Val ostatnie lata życia spędził admirał floty Józef Unrug. To tam po raz pierwszy zobaczyłam fantastyczne obrazy Herakliusza Lubomirskiego. Podczas tych podróży, dzięki Joli, poznałam także Montrésor, uważane za jedno z najpiękniejszych francuskich miasteczek. Pałac Montrésor zakupiony w 1849 r. przez Rosę Branicką do dziś znajduje się w rękach polskich. Nas oprowadzała po nim ówczesna właścicielka, pani Reyowa (potomkini poety Mikołaja Reja).

Po odejściu z opery Jola Kurzajewska aż do przejścia na emeryturę pracowała jako asystentka w Biurze Łącznikowym Parlamentu Europejskiego z Kongresem USA. Tam udzielała się w Klubie Euro-Polonia założonym przez Alinę Wojciechowską. Działalność Klubu skierowana była dla polskich (lub polskiego pochodzenia) pracowników instytucji europejskich.

Ciężko przeżyła tragiczną śmierć towarzysza życia, Christiana Destoop, który zmarł w 2018 roku. Dwa lata później odeszła jej ukochana Mama. A tak jej się marzyło ich wspólne zamieszkanie w tym uroczym domku we Francji...

Po długiej chorobie zmarła 20 stycznia 2023 roku w Brukseli.

*Dziękuję Ci Jolu za Twoją przyjaźń, za wszystko, co dzięki Tobie odkryłam!
Żegnaj!!!*

ANIA



Spotkanie w 1987 r. w Grez-Doiceau. Na zdjęciu: Jola Kurzajewska, Janina Pustkowska (dziennikarka), Anna Kos, ambasador Stanisław Matosek, Krzysztof Penderecki, Elżbieta Penderecka, Jerzy Kępa, Konstanty Ryndziejewicz

Ubuntu na wiosnę



SYLWIA CHRABAŁOWSKA

Jaka jest kondycja współczesnego człowieka po zimie w czasie wojny w Ukrainie? To wieloaspektowy temat egzystencjalny. Jednakże wiosna kojarzona z przebudzeniem i nowym początkiem zdaje się być idealnym momentem dla odrodzenia i podjęcia wyzwań, które się pojawiły. Czy jesteśmy w stanie coś zrobić, by poprawić naszą egzystencję nie tylko w wymiarze jednostkowym, ale i społecznym? Mam niegasnącą nadzieję, że jesteśmy.

Drogi Czytelniku, chciałabym zainspirować Cię takim systemem etycznym, który przemienił oblicze RPA. To ubuntu. Owa subsaharyjska ideologia okazała się mieć moc połączenia ze sobą ludzi, którzy wydawało się, że nie będą w stanie stworzyć społeczności, która wewnątrz – zamiast ze sobą walczyć – współpracuje. Czymże są nasze różnice poglądowe w porównaniu z różnicami, jakie musieli przekraczać zwolennicy Nelsona Mandeli oraz stojący

po drugiej stronie reprezentanci apartheidu? Czyż nas – mimo wszystko – nie łączy więcej niż dzieli?

U podstaw ubuntu leży przekonanie, że wszyscy jesteśmy ze sobą powiązani, że każdy człowiek jest składową społeczności. Filozofia ubuntu podkreśla znaczenie traktowania innych z szacunkiem, godnością i współczuciem oraz wspólnej pracy dla wspólnego dobra. Jedną z kluczowych zasad ubuntu jest idea, że w pełni można stać się człowiekiem dzięki innym ludziom. Oznacza to, że człowieczeństwo jednostki jest zdefiniowane przez jej relacje z innymi i że wszyscy jesteśmy współzależni od siebie. Dobrobyt innych ludzi ma wpływ na nasz dobrobyt, a nasz stan z kolei na inne osoby. Jesteśmy niczym naczynia połączone. Sądzę, że z powyższego wynika kolejny ważny aspekt związany z ubuntu, czyli przekonanie o mocy dzielenia się i hojności. Ważne jest, by dzielić się nie tylko zasobami materialnymi, ale wiedzą i umiejętnościami oraz aby pomagać potrzebującym. W społecznościach żyjących w zgodzie z ideologią ubuntu istnieje silne wzajemne poczucie odpowiedzialności za siebie.

Jednak przemiany w RPA nie dokonałyby się bez ostatniego składnika ubuntu, którym jest przebaczenie i pojednanie. Kiedy pojawiają się konflikty, nacisk kładziony jest na znalezienie rozwiązania, które przynosi wszystkim uzdrowienie i odbudowę. Oczywiście wymaga to goto-

wości do słuchania innych, zrozumienia ich punktu widzenia i współpracy w celu znalezienia wspólnego mianownika. Przy tej okazji zastanawiam się, że chyba tego właśnie najbardziej nam potrzeba na wiosnę w tym roku. Umiejętności słuchania. Umiejętności pomagać i dzielić się dobrami. Jesteśmy w tym świetni. Rozumiemy też to, że wspólnie zależymy i wpływamy na siebie. Jednak odnoszę wrażenie, że bardziej zależy nam, by dowodzić swoich racji, by wygłaszać własne zdanie, niż by dochodzić do porozumienia i wypracowywać kompromisy, które nas odbudowują.

Ubuntu jest sposobem życia, który podkreśla znaczenie relacji międzyludzkich, społeczności i wzajemnej pomocy. Jest to potężna filozofia, która ma potencjał, aby łączyć ludzi, promować empatię oraz tworzyć bardziej sprawiedliwe i równe społeczeństwo. Mam marzenie, aby Polacy obudzili w sobie ubuntu na wiosnę. Wiem, że potrafimy. Dobro jest we mnie, jest w Tobie. Dobro jest w nas!

O autorce:

Sylwia Chrabałowska: doktorantka w Kolegium Zarządzania i Finansów SGH, założycielka wydawnictwa Moc Media, prezeska Fundacji Moc Kobiet, mentorka, wykładowczyni i autorka kursów zawodowych, promotorka dialogu i społecznie odpowiedzialnego biznesu.



Ziemianin w kuchni

Chłop golonce nie przepuści



MAREK GRĄDZKI

Od kilku dobrych lat bawię się z moim ślubnym szczęściem w gastronomii. Coś co było pasją i hobby zamieniło się w profesję. Moja babcia patrząc z nieba na moje wyczyny może być dumna. Choć za moich młodych lat mawiała, że najlepiej gotuje Pan Bóg, potem ona, ja co najwyżej mogę być kuchcikiem. No ale lata ćwiczeń zrobiły swoje. Nabrałem doświadczeń i wprawy w karmieniu ludzi. Co prawda droga, którą wybraliśmy nie jest typowa dla gastronomii i nie każdy mógłby się w nią wpisać. Stworzyliśmy bowiem, naszym zdaniem, magiczne miejsce niedaleko Poznania. Nazwaliśmy je biesadownikiem. Nie jest to zwykła przydrożna knajpa do której wpada się na chwilę, wciąż schabowego i gna się dalej. Tutaj najlepiej się umówić, zarezerwować sobie kilka dobrych godzin czasu, tylko w weekend, posiedzieć z przyjaciółmi, zrelaksować się, odpocząć od miejskiego gwaru. Podwoje „Linia w Ogniu” otwieramy tylko w sobotę i niedzielę. Nazywamy się tak bo wszystkie nasze potrawy powstają na żywym ogniu i na oczach naszych gości. Mamy do dyspozycji dwa piece chlebowe, jeden to tradycyjna polska „baba”, w której fundamenty utopiliśmy pół tony zbitego szkła by odbijało ciepło. W niej pieczemy całego sumca, kozłaka czy jagniąka. Obok stoi niemiecki Panzer, wojskowy piec chlebowy na kółkach wykonany w 1885 roku, cały nieuszkodzony i dalej działający. W nim wypiekamy chleby, ale i mięsa różnorakie. Za nimi stoją dwie „angielki”, starszemu pokoleniu znane z domowych kuchni. Jedna to Gliwice 1970, w której fajerki zamieniliśmy staliwną płytą, na której Kaśka piecze podpłomyki, grilluje warzywa, sadzi jaja. Kolejna to Bavaria 1910. Ta służy do gotowania zup i sosów. Garnki stoją na niej czasami i dwa dni. Rosół musi się bowiem powolutku, jak to się mawia w Poznańskim, pyrtolić. Uwieńczeniem całości jest piec grillowy. Jak nas zapewniają bywalcy w świecie – największy w Europie, bo wysoki na cztery i pół metra. Komora ma dwa metry szerokości i metr dwadzieścia

głębokości. Całość waży osiem i pół tony. W nim to można wyczyniać cuda wszelakie, co też i robimy.

Zbliżają się święta Wielkiej Nocy. To czas mięsopustu, zgodnie z tradycją po poście adwentowym będzie można popuścić pasa. No więc zwyczajowi nie można się oprzeć. Tak też czynimy. Od mojego przyjaciela Waldka Sulisza, lubelskiego dziennikarza, twórcy Europejskiego Festiwalu Smaku, dostałem istną perełkę. Gdzieś z czeluści pamięci wydostał przepis na golonkę. Jego twórcą jest znany starszemu pokoleniu bard tamtych okolic, sławny w całej Polsce członek zespołu Silna Grupa Pod Wezwaniem, Kazimierz Grześkowiak. Najbardziej znany i tkwiący już jako powiedzenie w naszej kulturze przebój, to „Chłop żywemu nie przepuści, co się żywe napatoczy nie pożyje se a juści!”

Przepis dostałem i ruszyłem do dzieła. Najpierw golony, te tylne, dwa dni moczyłem w solance, płaska łyżka niejedowanej na litr wody. Potem przełożyłem do zimnej wody i rozpocząłem gotować z dodatkiem warzyw, liści laurowych i angielskiego ziele. Potem zaczęły się czary. Na każde cztery litry wlewałem do wody dwie łyżki ciemnego sosu sojowego. Gdy zaś woda zbliżała się do wrzenia, zgodnie z zaleceniem Waldka, okrasilem wywar setką spirytusu! Gotowało się to ze sześć godzin, wyjęte miały chrupką skórę, środek zaś rozpląwał się w ustach. Przeżycie było niesamowite przy takiej prostocie. Polecam więc, spróbuj Szanowny Czytelniku tego przepisu. Jak nie masz chęci i odwagi, zapraszam do „Linia w Ogniu”, miejscowość Linie, gmina Lwówek, niedaleko Poznania.





BESKIDEN HOOFDROUTE

Ontdek de langste
wandelroute in de
Poolse Karpaten!

- 502 km te voet
- 6 bergketens
- 3 provincies: Silezië, Klein-Polen en Subkarpaten
- 4 Nationale Parken: Babiogórski, Gorczański, Magurski en Bieszczadzki
- 2-3 weken avontuur



polen.travel/nl/wandelen



SPR NG

Performing Arts Festival

TIEN DAGEN MET VERNIEUWENDE HEDENDAAGSE DANS, THEATER EN MEER UIT BINNEN- EN BUITENLAND.



Photo: Lucy Wilke & Paweł Duduś, © Jean-Marc Turmes

Een festival van ontmoetingen tussen publiek en kunstenaars in gedurfde, onverwachte en urgente voorstellingen. Met o.a. Ligia Lewis, Samara Hersch, Lucy Wilke & Paweł Duduś, Katja Heitmann en Forced Entertainment.

18 - 27 mei 2023, in theaters en op
onverwachte locaties in Utrecht

Bekijk het volledige programma
op springutrecht.nl